

302/37
Lejb Zylberg
ur. 12 IX 1907 Klimontów
s. Chaskiela i Sury

[Wstęp autorstwa Klary Mirskiej, s. 1-4 – przyp. od tłum.]

W ciągu dwóch lat pracy w komisji historycznej przewinęli się przez moje biurko różni ludzie. Ludzie inteligentni, niektórzy z wyższym wykształceniem, którzy próbowali przeprowadzić analizę tego, co widzieli, i zwykli, prości Żydzi, którzy nie byli w stanie znaleźć odpowiednich sformułowań aby nadać wyraz potwornościom, które przeżyli. Pośród nich przyszedł do mnie niejaki Leib Zylberg, prosty krawiec z małego miasteczka. Już w pierwszym momencie jako protokolant zorientowałam się, że mam przed sobą cenny obiekt. Spotyka się bowiem dwa rodzaje świadków. Pierwszy mówi bardzo szybko, często chaotycznie. Protokolant, od którego wymaga się ogólnie, aby pisał szybko, stenograficznie nie jest w stanie od razu na miejscu uwiecznić opowiadania w taki sposób, w jaki zostaje ono przekazane. Jest przecież zmuszony naszkicować pewne punkty, które następnie musi opracować. Do takich protokołów wkradają się nieraz pewne niedokładności.

Występuje także drugi rodzaj świadków, który posiada pewne cechy ważne dla protokolanta. Ich opowiadanie [jest] architektonicznie dobrze zbudowane, ten rodzaj opowiadania daje pozwala wylapać zawartość wraz ze wszystkimi szczegółami, z całą specyfiką stylu. Przy [tym typie świadków] nie ma potrzeby ponownego opracowywania.

Protokolant chowa się w takim przypadku w cieniu, choć podkreślić należy, że nie może on ograniczyć się jedynie do technicznego zapisu. Musi pozostać aktywny zadając pytania, czyniąc spostrzeżenia, musi stworzyć bliskość między sobą a świadkiem, aby utwierdzić go w przekonaniu o ważności jego przeżyć i zachęcić go do dokładnego opowiadania. Taki rodzaj wdzięcznego świadka odkryłam w osobie Lejba Zylberga. Wiało od niego spokojem i rozumą. Powoli i cicho rozpoczął swoje opowiadanie, miało się wrażenie, jakby z jego wspomnień wypływał jeden obraz za drugim, jedno wydarzenie za drugim, które przekazywał dokładnie, z godnie z porządkiem chronologicznym. W ten sposób po długim czasie powstała cała duża, gotowa praca. Teraz, wydając ją, tylko w niektórych miejscach wprowadziłam pewne poprawki, które nie mają szkodliwego wpływu na całość. Pracę Zylberga można podzielić na cztery części. Pierwsza część obejmuje historię miasteczka Klimontów w czasie

okupacji i po uwolnieniu. Druga obejmuje utworzenie i likwidację Judenstadt w Sandomierzu, [opowieść o tym], jak zebrano resztki Żydów z okolicy. Następnie opisane są przeżycia w obozie i na stronie aryjskiej. Szczególnie charakterystyczna jest historia miasteczka Klimontów. Jest to małe miasteczko, lecz jego historia, w świetle opowieści Lejba Zylberberga, [jest] tragiczna i pouczająca. Przez pryzmat historii miasteczka Klimontów można zobaczyć etapy Zagłady także większych od Klimontowa osad. Może jestem zbyt śmiała, lub przypisuję jego pracy zbyt duże znaczenie, lecz w moich oczach historia Klimontowa urasta do przekroju żydowskiej tragedii czasu okupacji niemieckiej. Dokładnie jak w kroplach wody, gdy kładzie się je pod mikroskop, odzwierciedla się cała paleta barw życia w wodzie, tak samo widzimy na przykładzie Klimontowa tragedię życia żydowskiego i zagłady Żydów podczas okupacji niemieckiej. Tak na przykładzie Klimontowa da się spostrzec, że nawet historia żydowskiego bólu i cierpienia nie uodporniła narodu przeciwko okrucieństwu i jest to zrozumiałe, bo takie okrucieństwo było bezprecedensowe nawet w historii narodu żydowskiego.

Spółeczeństwo żydowskie nie pojmuje całej tej diabelskiej gry przeklętego wroga. Nie potrafią wyobrazić sobie, że końcowym celem wszystkich tych prześladowań jest Zagłada, a gdy zaczyna to rozumieć, jest już za późno. Jesteśmy dla siebie bezbronnymi grupami Żydów, całkowicie nie przygotowanych na tę straszną rzeczywistość. obejmuje nas uczucie litości nad bezbronną masą żydowską z Klimontowa, która pozostawiona została sama sobie, której nikt nie przewodniczył w tych strasznych dniach. Odczuwa się brak zorganizowanej siły politycznej, wokół której gromadziłyby się masy, za którą by szły. Brakowało partii, która odpowiedziałaby na te pytania.

Szczególnie tragicznie rysuje się bezradność mas żydowskich, gdy we wszystkich miasteczkach dookoła Klimontowa, już się paliło. Wtedy ukazała się cała bezsilność narodu żydowskiego, która wyrażała się w beczynnym zwątpieniu. Żydzi chowali głowę w piasek, chcieli przykryć się miejscami pracy, gorączkowo szukali różnych wyjść, czekali na cud, który nie nadchodził. Brak siły organizacyjnej, która powinna pociągnąć za sobą masy, ułatwił diabłu jego gierkę. Jak dzika zwierzyna bawi się ofiarą, zanim ją połknie.

W przeciwieństwie do tego [do postawy Żydów] ewidentnie widać całą niegodziwość okupanta, siłę niepojętego zła, która wypływa od niego, ściąga z powierzchni Klimontowa lupinę ze społeczeństwa.

Rada żydowska (Judenrat), żydowska policja, dwie instytucje, które stworzył okupant, aby z ich pomocą wymordować naród żydowski, skoncentrowały w swych szeregach całą hołotę, która sądziła, że dzięki lizaniu butów niemieckim mordercom, i wyciskając ostatnie siły z wykończonych Żydów, uratuje swoje własne życie.

Widzimy przed sobą tragedię rozdarcia, nieprzygotowania i bezbronności w momentach w których wszystkie siły społeczeństwa powinny były być harmonicznie zwrócone w kierunku walki z okupantem, gdyż rozstrzygała się kwestia istnienia bądź nieistnienia narodu. Ale rzeczywistości była inna. Ofiara coraz bardziej zaplątywała się w sieć, którą rozłożył i nastawił na nią diabeł, (nie jest to przypadek, że w żadnej literaturze postać diabła- Mefisto nie znalazła tak wyraźnie odzwierciedlenia, jak w niemieckiej).

W pracy napotyka się także na problem strony aryjskiej. Długoletnie antyżydowskie nastroje, zakorzenione w polskim społeczeństwie, długoletnie reakcyjne wpływy sanacji i endecji, demoralizująca działalność okupanta, jak również przestępcza praca NSZ i części AK, o której wspomina Żylberberg, wydały swe trujące owoce.

Instynkt zła, który nie napotyka w tym momencie na żaden rodzaj oporu, ze względu na paralizującą działalność rządu londyńskiego, niekarana chciwość, wyjecie Żydów spod prawa, **nie ogranicza** tak dzikiego spektaklu części społeczeństwa polskiego.

Jadowici Niemcy, propaganda miejscowa o polską reakcję usypia u wielu sumienie legitymizując tym samym mord i rabunek. Podlega postępuje policja granatowa. Czujemy trujący oddech NSZ, który zmusił, już po wyzwoleniu, ostatnich Żydów do wywędrowania z Klimontowa.

Taki dokument wszechobecności ludzkiego bólu i upadku w ciemną noc niemieckiej okupacji, dał nam prosty Żyd, Lejb Żylberberg.

Mimo to dalecy jesteśmy od zwątpienia po lekturze tej pracy. Nasza wiara w człowieka i człowieczeństwo, nie zostanie osłabiona, a wręcz odwrotnie: nasza wiara w wieczne człowieczeństwo wzmacnia się a to dlatego, że w klimacie, który tak utwierdzał najdziksze instynktów, widzimy, że wnętrza narodu, czy to żydowskiego, czy polskiego, pozostały w

całości. Cała jest grupa Żydów, która idzie z rabinem na cmentarz, gdzie odprawia on din Tojre i jednocześnie ją chowa.

Spektakularna jest postać żydowskiej dziewczyny, która swobodnie poruszała się pośród i pomagała Żydom aż do czasu, gdy polski policjant jej nie zamordował. Głęboko ludzie jest przywiązanie żydowskiej dziewczyny do jej narzeczonego, kiedy pędzi wraz z jego rodziną, aby wyrwać go z żydowskiego więzienia, aż pada sama, wraz z nim i ze wszystkimi bliskimi, jako ofiara niemieckich morderców, którzy udusili ją bez najmniejszej próby oporu z jej strony. Wiele jest tu takich przykładów. Pozostawiam je uwadze czytelnika.

To samo tyczy przeciętnego [zachowania] mas polskich. Zylberberg i jego bracia przeszli tyle po ucieczce z obozu. Wchodzili do chat chłopskich. Ktoś powiedział im, dokąd mają odejść aby uniknąć Niemców, drugi dał im chleba z mlekiem, trzeci pozwala im przenocować dwie noce. Aż znajdują miejsca, gdzie gospodyni przechowuje ich, aż do nadejścia wyzwolenia, nie mówiąc już o śmiertelnym strachu który obejmuje ich czasem, szczególnie, gdy we wsi pojawiają się Własowcy. Szczera jest radość chłopca po wejściu Armii Czerwonej, gdy krzyczy do kryjówki braci Zylberberg: –Wyłażcie! Sowietci już tu są!

Przekazując pracę Lejba Zylberberga publiczności, mam satysfakcję, że jest to z mojej strony pierwszy krok, wypełnienia w ramach pracy komisji historycznej, woli wszystkich tych, którzy powierzyli nam swoje przeżycia. Żądanie świadków, aby ich przeżycia były opublikowane, jest częścią wielkiego pragnienia, które setki, tysiące Żydów, wyraziło na swojej ostatniej drodze: Świat powinien dowiedzieć się o ich bólu, i zemścić się za ich Zagładę I wraz z wydaniem tej pracy, udało mi się w jakimś stopniu wypełnić testament tych którzy zginęli i wymaganie tych, którzy przeżyli, w mojej skromnej pracy protokolanta.

Klara Mirska

Świadek z Klimontowa opowiada:

Nazwisko: Lejb Zylberberg

Data i miejsce urodzenia: 12 września 1907, Klimontów

Wykształcenie: domowe

Zawód: krawiec

Mieszkanie podczas okupacji: Klimontów, Sandomierz, obóz Kamień koło Sandomierza, obóz Pionki koło Radomia

Mieszkanie aktualne: Cegielniana 6/18, Łódź

Kogo utracił: Ojciec, matka, 4 siostry, 2 szwagrow

Pochodzę z małego miasteczka Klimontów w obwodzie sandomierskim. Przed wojną mieszkało tam ponad 800 rodzin żydowskich. Istniały różne organizacje, jak syjoniści czy partia robotnicza. 2 lata przed wybuchem wojny została rozwiązana partia komunistyczna. Byli członkowie partii komunistycznej i jej sympatycy zorganizowali bibliotekę miejską. Byłem członkiem zarządu biblioteki. Biblioteka znana była w miasteczku, jako komunistyczna. W czwartek, 7-go września 1939 zarząd biblioteki spalił listy członków zarządu i czytelników. Ludziom rozdaliśmy bardziej podejrzaną, marksistowską literaturę. W sobotę 9-go września, o godzinie 2-giej po południu, przez miasteczko przejechał pierwszy patrol niemiecki. Ofiar pośród Żydów tego dnia nie było. Polegli jedynie dwaj 2 Polacy-pastuch i chłop. W poniedziałek 11-go września 1939, około godziny 9-tej rano, do miasta wjechał samochód pancerny z bronią maszynową. Samochód pancerny i ciężarówka, ustawiły się na rynku. Z samochodów wyskoczyli żołnierze, którzy rozproszyli się po wszystkich uliczkach. Żołnierzami dowodził jeden, który siedział w samochodzie pancernym. Zagonili ludzi na rynek: Żydów i Polaków. Pośród spędzonych znaleźli się także chłopcy, bez względu na wiek. Strzelali w zamknięte drzwi, siłą wyciągali ludzi z domów. Kiedy rynek się już zappełnił, oddzielili Żydów od Polaków, po czym kazali wszystkim udać się do domu.

13-go września 1939, na motocyklu przyjechał Niemiec. Ulice były puste, gdyż bano się wychodzić na ulicę. Do Niemca podszedł Polak, Józef Śledź, i doniósł mu, że Żydzi nie chcą mu sprzedać tabaki. Niemiec zaprowadził go do sklepu żydowskiego i kazał mu wziąć tyle tytoniu, ile tylko dusza zapagnie. Ten sam Niemiec strzelał ze swojego motocykla do żydowskiego tragarza, który przypadkowo znalazł się na ulicy, na szczęście nie trafił go.

W Rosz ha- Szana (Nowy Rok) przez miasto przeszło niemieckie wojsko, trwało to 2 dni. W trakcie przemarszu wdzierali się do sklepów żydowskich i rabowali je. U niejakiego Wolfa Werthajma zrabowali skórę i tekstylia, a łup rozdzielili pośród ludności polskiej. Rozdawali także słodczyce dzieciom polskim. Sceny te fotografowali.

Po przemarszu wojska przybył do miasteczka oddział żandarmerii z niemieckim komisarzem do spraw gospodarczych. Zamożniejsi Żydzi zaczęli handlować z żandarmerią. Za pośrednictwem swych pięknych córek, zdobywali od Niemców koncesje. Bogatego Żyda, Awigdora Rajhcoga żandarmeria wywlekła na rynek, aby wyłudzić od niego pieniądze. Dzień był deszczowy, a oni nakazali mu się rozebrać, położyć się na ziemi i wycelowali w niego karabiny. Myśląc, że zamierzają go zastrzelić, z godnie z wyrokiem rebege, (żandarmeria nakazała, aby rabin stwierdził, ile powinien on dać) dał 3000 zł.

Żandarmeria zażądała, aby Żydzi i Polacy nie wychodzili na ulicę z rękami w kieszeniach. Żydzi musieli schodzić z chodnika, gdy napotkali Niemca. W październiku 1939 z Sandomierza nadszedł rozkaz, że Żydzi muszą zapłacić kontrybucję w wysokości 100 000 złotych. W praktyce kontrybucja rozłożona została na cały obwód sandomierski. Adwokat Goldberg, który potem został prezesem Judenratu w Sandomierzu, chcąc odciążyć Sandomierz, przerzucił większą część kontrybucji na inne miasteczka powiatu. Przy czym przy zbieraniu kontrybucji zarobili niektórzy Żydzi z Klimontowa, jak na przykład Jona Fajntuch, który był przed wojną szefem gminy żydowskiej. Podatek z zarobkiem zbierał wśród żydowskich mas. Kombinacje te wywołały w miasteczku burzę pośród społeczności żydowskiej. Żydzi zażądali komisji, która zbadałaby nadużycia wokół kontrybucji. Do komisji kontrolnej wszedłem ja, mój przyjaciel Alter Szmidt, i przyjaciel, który na kilka dni przed wybuchem wojny przybył z Palestyny, Szolem Kormes. Niestety komisja przekonała się o tym, że bezcelowe jest powoływanie komisji kontrolnej w czasach hitlerowskich. Świństwo było już faktem i nie dało się cofnąć niczego. Podczas pertraktacji z Joną Fajntuchem, obecny był Mojsze Meir Ciner, człowiek z półświatka, który był zaprzyjaźniony z żandarmerią. Tenże sam Ciner szantażował ludność żydowską. Został zastrzelony podczas wysiedlenia.

Powstanie Judenratu

W październiku 1939 utworzona została Rada Żydowska [Judenrat]. [Członkowie rady] mianowani zostali przez polskiego wójta, Stanisława Lasotę. Za kulisami tej nominacji stały

różne intrygi. Utworzona została Rada Żydowska, w skład której weszło 8 ludzi z Chaimem Himelfarbem na stanowisku prezesa. Ponieważ jednak nie mógł się on dopasować do pozostałych członków Judenratu, miejsce jego zajął Efraim Teperman. Judenrat rozpoczął zapędzanie ludności żydowskiej do pracy, przy czym wytworzyła się warstwa uprzywilejowana, która nie pracowała. 4-go marca 1940 wszedł do mnie Teper i powiedział, że jestem wzywany przez żandarmerię. Z przyjacielem z zarządu biblioteki udałem się do [siedziby] żandarmerii, która znajdowała się w lokalu gminy polskiej. Pośród żandarmów znajdował się jeden żandarm- oficer. Zażądali aby oddać im książki z biblioteki, jak również adres biblioteki. Chcieli zapieczętować bibliotekę. Ponieważ książki z biblioteki rozdzielone zostały już pośród znajomych, zażądali, aby na nowo zebrano książki w lokalu polskiej szkoły powszechnej. Jeszcze po wyzwoleniu biblioteka znajdowała się w tej szkole. Dopiero podczas bombardowania 9-go sierpnia 1944 szkoła została wraz z książkami spalona. Kilka dni później do miasteczka przybyła ekspedycja karna składająca się z ponad 40 SS-manów, „martwe głowy” (tojt ke). Urządzili się w pałacu, kilometr za miastem. Już pierwszego dnia bili Żydów, których spotkali na ulicy. Żyd Abe Kwaśniewski, który przed wojną latami siedział w więzieniach za komunizm, został przez nich zraniony. Zażądali od Rady Żydowskiej pewnej liczby piwa, jajek, masła itd. Prezes Rady Żydowskiej Teperman, zaczął grać główne skrzypce. Aby przypodobać się Niemcom wydał najbogatszych Żydów miasteczka. Noc w noc SS-mani wchodzili do miasteczka, i z rozpiski wiedzieli już, dokąd mają iść. Zwykle zaciągali wskazanych Żydów do pałacu a tam przeprowadzali przeciwko nim inkwizycję. Po drodze do pałacu znajduje się staw. Żydów w ubraniach wrzucano do stawu a później mokrych prowadzono do piwnic pałacu, i brano ich na górę dopiero następnego dnia rano, gdzie dręczono ich dalej. Szczuto ich, niektórych bito pałkami tak długo, aż pękały rzeczy na nich. Pewien człowiek, Jakow [Jekl] Ungerman, pokazał nam swoje spodnie, które były z tyłu bardzo poszarpane. Prezes donosił nawet na Żydów z Judenratu, których także wciągano do piwnicy. Pośród nich znaleźli się: Sz. Wajsblat, Dawid Grintisz, Josl Goldblum. Od Josla Goldbluma zażądali, aby oddał tekstylia, był on sprzedawcą tkanin. Tego samego dnia zażądali, aby Judenrat dostarczył im benzyny. Ponieważ Goldblum zachowywał się odważnie i nie zdradził, gdzie trzyma swój towar, SS-mani w akcie zemsty podpalili jego dom, który wcześniej polali benzyną. Nie zezwolili na ugaszenie domu, uratowali się tylko ludzie. Dopiero wtedy gdy dom prawie doszczętnie spłonął, rozkazali by go ratować. Z pałacu przybyli nawet pozostali SS-mani do miasteczka i nakazali, aby Żydzi ratowali dom, który był już spalony. SS-mani każdego dnia przybywali do miasteczka samochodami ciężarowymi, wchodzili do żydowskich sklepów i pustoszyli je.

Właściciele sklepów musieli sami dostarczać towary i bito ich jeszcze, by robili to szybciej. Pewnego dnia Teperman wraz z SS-manami pojechał do Ostrowca, chodził z nimi po [domach] bogatszych Żydów i rozkradał z nimi ich majątek. SS-mani pobili wtedy tak dwóch Żydów, że zmarli od tych uderzeń. Ci sami SS-mani rozdzielali towar, który odebrali żydowskiemu sprzedawcom, także między Tepermana. W mieście powstało wielkie rozgoryczenie w stosunku do niego. Wykorzystali to inni, którzy czyhali na stołek prezesa. Donieśli na niego i na jego miejsce został powołany drugi. Jednym z tych, którzy zepchnęli go [ze stołka] był Mejlech Urbach. Przed wojną był to szlachetny młodzieniec, pobożny. Zostało to złożone u wójta miasteczka, a on wyznaczył drugiego prezesa, Motla Szuldmana i rządził jego rękami. Pod koniec kwietnia 1940 Motl Szuldman został prezesem Judenratu. Miało to miejsce po zajęciu Francji i Holandii, kiedy wojsko niemieckie, po kapitulacji Francji wycofało się na Wschód. Tak jak w całej Polsce, tak i u nas zakwaterowane zostało wojsko. Wojsko zwykle zmieniało się.

W drugim Judenracie reprezentowane były trzy warstwy społeczne: bogaci, pobożni i ludzie z półświatka. Niemcy wydali rozkaz, że Żydzi zostaną wzięci na 2 lata pracy przymusowej, w celach wychowawczych, a jeśli te dwa lata nie przyniosły efektów, władza miała prawo do przedłużenia terminu pracy. Ustalono, że Żydzi z naszego miasteczka mają pójść do pracy przymusowej do kamieniołomów w Międzygórzu, 12 km od Klimontowa. Dla robotników praca ta była najcięższą katorgą, ale przed Judenratem otworzyła się kopalnia złota. Kiedy prezes wyczuł, że może dojść do tego, że do kamieniołomów nie będzie się już brało Żydów z Klimontowa, bardzo się wysilił i dawał pieniądze, aby brano Żydów z Klimontowa do pracy. Wyznaczył dwóch swoich szwagrów, Chil Penczynę i Pereca Wajsbroda jako przewodników grupy. Chil Penczyna wskazywał w kamieniołomach bogatszych Żydów, którym zadawano wielkie cierpienia. Wtedy oni, nie chcąc już więcej iść do pracy, wykupywali się u prezesa. Jednocześnie ten sam Chil Penczyna brał pieniądze od bitych Żydów obiecując im, że majster nie będzie ich już więcej bił. Żydzi z Klimontowa, na których spadł ciężar tej pracy, zbuntowali się i gdy otrzymywali kartkę wzywającą do stawienia się do pracy, nie chodzili. Judenrat pojechał do Opatowa do Kreishauptmana i do żandarmerii i doniósł, że Żydzi się buntują. 6- sierpnia 1940 weszli do miasta żandarmi z Opatowa, folksdojczce, policja bezpieczeństwa... Miasteczko jeszcze spało, wypędzali nagich, ubranych jedynie w bieliznę mężczyzn na rynek, bili karabinami i pałkami. Pewien Alter Kac widząc to wszystko uciekł za miasto. Niemcy zaczęli go gonić, wbiegł do stawu, złamali mu bark i zaciągnęli go z powrotem na rynek. Matka jego, widząc co robią z jej synem, pobiegła do prezesa

Komentarz [A.Sz1]: [we wspomnieniu Mordechaja Penczinera pojawia się jako Hilel Pencziner, jak widać inna jest też pisownia nazwiska]

Szuldmana, i błagała go by uwolniono jej syna. Nie chciał nic zrobić. Z wielkiego cierpienia dostała ataku serca i zmarła. Tego samego dnia 6-go sierpnia 1940 około godziny 10-tej zaczęto pędzić grupę Żydów do Międzygórza. Zaczęto ich spędzać do pracy. Dzień był bardzo gorący. Dowódca kamieniołomów, Niemiec Grün, zaczął wkrótce bić nowoprzybyłych z prawej i z lewej. Kiedy Alter Kac, którego matka umarła na rynku na atak serca, prosił by go uwolniono, gdyż ma skaleczoną rękę, zbił go jeszcze bardziej. Bito także chorych ludzi, którzy znaleźli się przy pracy. Grün powiedział, że Klimontów jest pierwszym piekłem i wybije się tam wszystkich Żydów. Rozbito głowę Szmula Denemarka, zrobił to strażnik Kozłowski. Takie ekscesy miały miejsce cały czas. Wielu uciekło z pracy. Aby pokazać silną rękę, prezes Motl Szuldman powołał do Judenratu ludzi, którzy mieli wpływ na opinię publiczną. Pośród nich znalazłem się ja. Jednocześnie przywołał komendanta polskiej policji, Pajaka. W jego obecności mówił do nas po polsku, i złożył następujące wyjaśnienia: powstała grupa, która chce przeprowadzić sabotaż pośród robotników. Przedstawiciele uczynili odpowiedzialnymi za porządek i od dziś, jeżeli w mieście będzie panował nastrój niezadowolenia, będziemy za to ponosić za to odpowiedzialność. Jeden z zawołanych, pewien stolarz, poprosił o głos. W odpowiedzi na jego mowę wystąpił polski komendant, i powiedział, że wkradła się tam komuna, i Żydów się powywiesza.

Komentarz [A.Sz2]: Tiszler to może być też nazwisko

Szuldman miał przeciwników- konkurentów. Składali się z byłych członków rady, i nowych ludzi. Między innymi znalazł się tam Boruch Fligelman. Fligelman miał konszachty we władzy. Pod jego wpływem wójt zatwierdził listę [członków] Judenratu, którą przygotował Fligelman. Także prezes Szuldman nie milczał. Ubił interes z lejtnantem Wehrmachtu, że Żydzi będą pracowali za darmo, ich zarobki przejął lejtnant Kneifeld. W zamian za to Kneifeld podpisał list do Krajshauptmana, że chce aby Szuldman pozostał nadal prezesem Judenratu. Jednocześnie Szuldman uzyskał wsparcie żandarmerii i niemieckiego urzędu pracy. Rozumie się, że nie kochali go tak bezinteresownie.

Od 11-go sierpnia 1940 rozpoczęła się akcja łapania Żydów do obozu koncentracyjnego, do Płaszowa w województwie lubelskim. Akcja rzuciła strach na Klimontów. Tu ukazała się zbrodnicza rola Szuldmana. W sąsiednich miasteczkach jak Staszowie, Osiegu, Koprzywnicy i innych, prezesi rad żydowskich ostrzegali ludność żydowską, aby się ukryła, gdyż może mieć miejsce oblawa. Prezes z Klimontowa zrobił inaczej. Wydał oficjalne obwieszczenie w którym napisane było, że kto nie ma nakazu pracy w kamieniołomach w Międzygórzu, musi do 26 sierpnia stawić się w niemieckim urzędzie pracy w Sandomierzu, gdzie zdrowi zostaną

zakwalifikowani jako zdolni do pracy w obozie koncentracyjnym w **Płaszowie**, przy granicy sowieckiej. Kto nie stawia się przed komisją, zostanie ukarany karą śmierci, jeżeli powołany ucieknie, jego rodzina zostanie rozstrzelana. Nie dostałem takiej karteczki do pracy w Międzygórzu. Takie karteczki otrzymali jedynie bliscy prezesa. Postanowiłem jechać do Sandomierza na komisję (groźba kary śmierci za niepojechanie była wymyślona przez prezesa).

W niedzielę 25 sierpnia 1940 około godziny 10 rano siedziałem w domu. Nasze mieszkanie znajdowało się na rynku i mogłem obserwować, co dzieje się w mieście. Zobaczyłem że od strony klasztoru, nadjeżdża motocykl z dwoma Niemieckimi żołnierzami w hełmach z karabinami, w pełni przygotowanych do wojny. Za motocyklem jechało kilka samochodów ciężarowych, z żołnierzami z karabinami. Samochody ciężarowe rozjechały się po wszystkich uliczkach, żołnierze, którzy byli na motorach, zeszli i zaczęli spędzać Żydów na rynek. Przybywało coraz więcej Żydów. Ustawiono ich. Zobaczyłem, że nie da się uciec, chciałem więc stawić się sam, ale matka kazała mi się ukryć. Udało mi się. Z mojej kryjówki zobaczyłem, że zebrano wszystkich Żydów z miasteczka na placu. Żydów, których wyciągnięto z kryjówek, zebrano oddzielnie, postawiono na rynku przy lejtnant Kneifeld, i żołnierz złożył raport, gdzie znalazł Żydów. Kneifeld nakazał dać im 25 batów. Karę wymierzali z dwóch stron dwaj żołnierze, którzy bili ostrymi pałkami prawie gołe ciała. Kamienie czerwone były od krwi. Wybrano 150 ludzi i samochodami ciężarowymi wysłano ich do Sandomierza. W Sandomierzu wsadzono Żydów na noc do więzienia a rano stawiono ich przed komisją w urzędzie pracy. Rodziny wywiezionych pobiegły Motla Szuldmana i do komendanta żydowskiej policji, Izraela Tenenwurcla, zawodowego złodzieja. Za ciężkie tysiące uwolnili bogatych, a biedni zostali wysłani do obozów. Prezes i komendant zrobili na tym dobry interes (na zabranie, na które przyszli przedstawiciele społeczeństwa prezes gminy oświadczył, że w Klimontowie panuje sabotaż. Powiedział to w obecności komendanta polskiej policji). Szuldman zarzucił także Boruchowi Fligelmanowi, który chciał przedstawić drugą listę kandydatów do Judenratu, że prowadzi sabotaż. Dzięki temu przybyła żandarmeria, aresztowała Fligelmana i odesłała go do sandomierskiego więzienia. Po wielkim trudzie i za pieniądze udało się go wyciągnąć.

III (tylko w maszynopisie: wprowadzenie niemieckiego porządku)

Lejtnant Kneifeld, komendant miasta, okrutnie dręczył Żydów. Każdego dnia szykanował ludzi przy pracy. Kazał im biegać, bił ich. Zimą 1940-41 wraz ze swoimi oficerami wchodził

do żydowskich domów i mówiąc, że jest mu gorąco, wyrzucał przez okno różne rzeczy i w ten sposób rozbijał szyby. Rada Żydowska robiła z nim zwykle dobre interesy. Judenrat przekształcił małą synagogę w więzienie, które gorsze było niż najgorsze więzienie w dawnej (przedwojennej) Polsce. Stworzyli żydowską policję. Rada Żydowska składała się z 60 ludzi, których musiało utrzymać społeczeństwo. Ciężar podatków spadł na biednych, opieka specjalna wiele kosztowała żydowskie społeczeństwo. Otrzymali także pomoc z Krakowa, z centrali, ale wszystko łądowało w kieszeniach Judenratu. Przesiedleńcy cierpieli strasznie. Na przykład wiedeńscy uchodźcy, do których zaliczali się głównie ludzie starsi, było ich 200 uchodźców, umierali masowo. Pozostałe po nich majątki rozchwytywali dla siebie członkowie Judenratu i żydowskiej policji. Przy Judenracie zorganizowana została kuchnia dla uchodźców i biednych ludzi, która dostawała duże wsparcie, ale biedni dostawali coś rzadko, kierownikiem kuchni był teść prezesa Judenratu, Jankiel Wajsbrot, Rozdzielał zupę i chleb a przy tym szantażował przesiedleńców. Chciał by sprzedawali mu oni resztę rzeczy. Jeżeli ktoś tego nie zrobił, wlewał mu rzadką zupę- praktycznie wodę. Posłusznym dawał gęściejszą [treściwszą] zupę. Z przydziału chleba, który dostawał dla biednych, kradł dla swoich dzieci, które ciemny chleb wymieniały na biały u piekarza. Kiedy do naszego miasteczka przybyli wysiedleńcy z całej Europy, trzeba im było zapewnić dach nad głową. Wykorzystał to Judenrat, który wywęszył dla siebie kolejny dobry interes, dla przesiedleńców rozpoczęło się piekło. Bogaci ludzie, którzy nie chcieli przyjąć do siebie do domu uchodźców, zaczęli smarować [płacić] prezesowi. Jeden dał mu szafę, drugi coś innego. A prezes Judenratu, chcąc mieć kontrolę nad mieszkaniem, wydał rozkaz, że bez udziału Judenratu nikt nie ma prawa, oddać swojego mieszkania [do dyspozycji uchodźców]. Jeżeli ktoś nie zapłacił podatku, za karę kwaterowano u niego uchodźców. W ten sposób biedni cisnęli się z uchodźcami, bogaci, aż do ostatniego dnia Zagłady mieszkali mając do dyspozycji sporą przestrzeń. Ponieważ upychało się uchodźców w małych mieszkaniach, jak również z powodu braku mydła, wybuchł pośród nich tyfus i inne choroby zakaźne. Ale Judenrat żadnymi środkami nie próbował zaradzić potrzebom. Oddzielną plagą była kolumna sanitarna przy Judenracie. Nie uruchomiono żadnej publicznej łaźni. Po wybuchu epidemii chorób zakaźnych, resztę rzeczy wrzucali do maszyn, które uszkadzały rzeczy. W brutalny sposób zaciągano ludzi na *Endlosung*, nie dawali żadnego mydła, nie zwracając uwagi na kontyngent. Prezes wykorzystywał także komisję sanitarną do chłosty. Jeżeli ktoś był nieposłuszny, straszono go kolumną sanitarną. Komisja sanitarna z przewodniczącym Joslem Kormeserem, Dr. Banachem i Lejzerem Hochmanem, brała w łapy za nie przeprowadzanie dezynfekcji. Prezes Motl Szulman miał piękne mieszkanie, ale wszystkiego było mu mało.

Wpadło mu w oko mieszkanie Abrahama Jony Kaca, którego syn cierpiał na chorobę psychiczną. Syn zmarł i prezes nie pozwolił go pochować, aż do czasu kiedy Kac nie opuści swojego mieszkania. Ciało leżało dwa dni i po tym wrzucono Kaca do pustej jatki, a prezes zajął jego mieszkanie. Zbieranie podatków także odbywało się przy użyciu środków przemocy. Już na jesieni 1939 Judenrat w trakcie zbierania podatków korzystał z pomocy niemieckich żandarmów. Później posługiwano się SS-manami „martwymi głowami”. Zbieranie podatków przebiegało zwykle w następujący sposób: żył w miasteczku niewidomy człowiek, Mendele Mer. Za kilka groszy, które dostawał od Judenratu, krzyczał na rynku, że kto nie zapłaci podatku, wzięty będzie do Górek(Górki) do piwnicy. Posługiwano się lejtnantem Kneifeldem, którego Żydzi nazywali Haman. Ludzi, którzy nie płacili podatków, wysyłano do kamieniołomów.

Urząd pracy

Urząd pracy musiał dostarczać Niemcom codziennie określoną ilość Żydów do pracy. Zimą na przykład, trzeba było sprzątać szosę Klimontów-Opatów. Pracą kierował lejtnant Kneifeld. Gdy dostawało się karteczkę do pracy, bogaty sam nie wysyłał sam swoich ludzi, ale płacił pewną sumę pieniędzy Judenratowi. Aby zmusić bogatych by nie szli do pracy, ale się wykupywali, Judenrat posługiwał się takimi środkami. Nocą brał Judenrat żydowską milicję, i pod przywództwem Wowcze Fajntucha wybijał szyby w domach bogatych Żydów. Przy pracy żołnierze niemieccy bili Żydów, podstawiali im nogi, zadawali wielkie cierpienia.

Żydowska policja

Wielu Żydów nie chciało należeć do żydowskiej policji, która została oficjalnie utworzona 2-go września 1942 roku. Policja składała się głównie z byłych złodziei, z komendantem , głównym złodziejem, Izraelem Tenenwurclem, Jankiel Grinsztajn i innymi. Kiedy Niemcy wydali ograniczenia, że Żydzi wychodzić mogą jedynie do godziny 8-ej wieczorem, Judenrat i policja wykorzystali to dla siebie. Jeżeli policjant złapał człowieka po 8-ej wieczorem ten musiał zapłacić wyкуп. Policja brała fanty od tych, którzy nie płacili podatków. Ogólnie mówiąc, policja żydowska wykonywała wszystko to, co zarządził Judenrat. Prócz egzekwowania podatków, zaciągali Żydów do pracy. Najbardziej ze wszystkich wsławił się Jankiel Grinsztajn. Na własne oczy widziałem, jak bił żydowskiego uchodźcę. Nawet członkowie Judenratu nie mogli patrzeć na okrucieństwo z jakim bił tego uchodźcę. W moim sąsiedztwie mieszkał krawiec z Kalisza. Mieszkał w małym zakładzie, miał mądre dzieci. Pewnego razu, kilka minut po godzinie policyjnej, człowiek ten stał w drzwiach sklepu.

Grinsztajn podszedł do niego i uderzył go tak mocno, że ten zalał się krwią. Kiedy córka krawca, która przyglądała się tej scenie, zapytała Grinsztajna, dlaczego bije jej ojca, zamiast odpowiedzi, także jej wymierzył jej takie uderzenie pod serce, że od tamtego czasu wciąż chorowała. Dzięki temu o 8-ej godzinie Żydzi nie pokazywali się na ulicach, policjanci wykorzystywali to do [załatwiania] swoich ciemnych interesów. Ten sposób okradli sprzedawcę materiałów Josła Rozenbluma, także u innego sprzedawcy tekstyliów u Winera i innych przeprowadzali kradzieże. Tę część pracy wykonywano przy pomocy polskich policjantów. Ludzie krzyczeli, że należy iść do komendanta żydowskiej policji, Tenenwurcla, który sam był typem spod ciemnej gwiazdy. Rozumie się, że to wcale nie pomogło.

25 grudnia 1941 roku Judenrat wraz z policją żydowską przeprowadzili akcję futrzaną. Wywieszono więc zawiadomienie, że jeżeli ktoś nie odda futer grozi mu kara śmierci. Natychmiast żydowska policja wraz z tym samym polskim policjantem, który okradał Żydów, Kozłowskim, napadła na Mojsze Terkeltojba, zerwali z niego futro i dotkliwie go pobili. Tego samego dnia prezes Judenratu Szuldman, z komendantem polskiej policji Pająkiem, zwołali ludność żydowską na apel na palcu synagogałnym. Obaj wezwali ludność żydowską, do oddania futra. Z tonu mowy prezesa można było wywnioskować, że współczuje Żydom, że uznaje rozporządzenie za antyżydowskie, ale wkrótce ujawniło się jego prawdziwe oblicze. Aby wyegzekwować nakaz powołał komando futrzane (futer-komado), i komando futrowe, poza policją, zgromadziło najlepszą młodzież z miasta. Jeżeli znalazł się Żyd, który chciał swoje futro sprzedać Polakom, lub zachować, terrorem i przemocą mu je wrywali. I tak na przykład do pani Rocheze Dąbrowskiej, która miała karakułowe palto, przyszedł prezes Mojsze Penczyna z całą bandą i zdemolował całe gospodarstwo domowe i zmusił do oddania futra. U mojej siostrze Rywki Lei Grinblat, przybyłej z Warszawy, miało miejsce takie wydarzenie: jej mąż był z zawodu kapelusznikiem, i właśnie w tym czasie zajmował się futro z łapek od Polaka, sam posiadał własny kołnierz ze skunksa. Weszła banda i zabrała płaszcz i kołnierz. Moja siostra poszła do Polaka i poprosiła go, aby poszedł do Judenratu i powiedział, że płaszcz jest jego. Jednocześnie poprosiła go, żeby powiedział, że kołnierz także należy do niego. Rzeczywiście tak powiedział i wydano mu płaszcz, ale kiedy doszło do kołnierza ze skunksa, stało się inaczej. W Judenracie siedział komendant żydowskiej policji i powiedział prezesowi Judenratu: - Nie rozpoznajecie do kogo należy ten kołnierz? i ukradziono jej ten kołnierz. Prezes Judenratu otrzymał od władzy niemieckiej podziękowanie, za to, że przeprowadził akcję lepiej, niż mogli sobie wyobrazić.

Nadszedł rok 1942. pod koniec marca dało się już odczuć zbliżającą się katastrofę. Wiedzano już o Mielcu i o Lublinie. Chciano wyjaśnić powód wysiedlenia Żydów z Mielca. Zaspokojono się tym, że wysiedlenie w Mielcu miejsce wyjątkowo, gdyż Żydzi robili tam nielegalne interesy, na pchlim targu z Niemcami. Tego samego uzasadnienia szukano dla Lublina. Ale instynktownie [ludzie] czuli się w tym położeniu dokładnie tak, jakby wąż owinał się [im] dookoła gardła. Musiał nadejść moment uduszenia. 11-go kwietnia ustawiono słupy z napisem „Strefa zamieszkania dla Żydów, przekroczenie będzie karane śmiercią”. Co dwa tygodnie słupy przemieszczano bliżej, aby coraz bardziej osłabić Żydów psychicznie. Wydano rozkaz, że Żyd nie może chodzić na wieś. To jeszcze bardziej załamało Żydów. Wielu biednych Żydów ryzykowało, aby zarobić na kawałek chleba, szli na wieś z galanterią. Gdy tacy ludzie zostali złapani, co zdarzyło się nieraz, rozstrzeliwano ich. W ten sposób zastrzelono uciekiniera z Kalisza, Rundenboka, Sorkę Kejzman, pewnego Kawkę. Tydzień przed Szawuot wydany został rozkaz, że wszyscy Żydzi ze wsi muszą opuścić swoje mieszkanie i udać się do getta. W skutek rozporządzenia przeciwko Żydom ze wsi, przybyło do nas do miasteczka jeszcze 500 Żydów, mi i wypadło bardzo często chodzenie do pracy w Skale, co spowodowane było tym, że policja i Judenrat brali od bogatszych wykup, a na ich miejsce wpisywali biednych. Pieniądze brali dla siebie.

Miało to miejsce pod koniec sierpnia 1942. Z fabryki broni w Skarżysku uciekł Mojsze Rozengarten, miał przezwisko Żaziak, przybył do nas do miasteczka do swojego ojca. Komendant policji z Opatowa, gdzie mieszkał Rozengarten, zadzwonił w związku z tym wypadkiem do klimontowskiego Judenratu. Telefon odebrał radny Wowcze Fajntuch i rozkazał komendantowi żydowskiej policji aresztować Rozengarta. Żydowska policja aresztowała go i zaprowadziła do żydowskiego więzienia. Do więzienia przyszła cała jego rodzina wraz z jego narzeczoną i hakiem wyważyli okno, aby mógł wyjść. Żydowska policja natychmiast zadzwoniła do polskiej policji z prośbą o pomoc. Polska policja wysłała policjanta Fornalczyka, ale Rozengarten mu się nie poddał, powalił polskiego policjanta na ziemię. Założono mu kajdanki na ręce i pozostawiono go w więzieniu. Jednocześnie w tym samym czasie aresztowano jego żonę. Zdjęła mu kajdanki z rąk, wyłamali kłódkę i uciekli. Potem policjant Fornalczyk zadzwonił do policji drogowej, że w Klimontowie zbuntowali się Żydzi i że na placu synagogałym napadło go 70 Żydów. Trwało to kilka dni. Żydzi czuli, że zbliża się coś strasznego. Rodzina uciekinierów pracowała wtedy przy stawie. W poniedziałek wieczorem policja żydowska aresztowała jego rodzinę. Ojca i matkę- Jankla i Rochl Rozengarten, jego wujka Zelika Rozengartena z żoną Sarą Rozengarten oraz ich córkę z

mężem Fajwiszem Czepantowskim, jego kuzynkę Maszę Rozengarten, jak również jego ciocię, żonę drugiego wujka Dobrele Rozengarten z synem Chaimem Nusenem Rozengartenem, brata ojca Chaima Rozengartena, i jeszcze dwie siostry, które żyły blisko z rodziną Rozengartenów, pochodziły z Tarnobrzegu. Aresztowano też jego narzeczoną, którą znaleziono. Aresztowano razem 13 osób. W środę, 2-go września 1942 rano przybyła taksa z żandarmami z Sandomierza i pewnym żydożercą Lescherem, który był żandarmem niemieckim. Przybył także komendant żandarmerii Dolmayer, żandarm o nazwisku Korol i czwarty Niemiec, księgowy z Łodzi, Teiser. Wyciągnęli 13 ofiar żydowskich, wyprowadzili ich na najpiękniejszą aleję, gdzie dawniej zwykli spacerować Żydzi, gdzie dawniej usłyszeć można było śmiech żydowskiej młodzieży. Tam zastrzelono ich z amunicji dum dum. Judenrat przyprowadził zaraz Żydów z łopatami i pochowano ich. Jeden z aresztowanych, 16-letni chłopiec Chaim Nusen Rozengarten nie chciał wyjść z więzienia. Niemcy zamordowali go w więzieniu. Po przeprowadzeniu mordy żandarmi zadzwonili do Opatowa, że zamordowali 13 ludzi, odpowiedziano im, że to mało, że należy zastrzelić jeszcze 20. Tak przekazał Judenrat ludziom. Potem Judenrat wraz z policją żydowską rozpuścił się po mieście. Zaczęło się polowanie na Żydów, wiedeńscy wysiedleńcy uciekli do swoich mieszkań. Mieszkali w sklepach i warsztatach. Między innymi złapano dziewczynę z Grice, która bardzo się broniła. Żydowski policjant grubym kawałkiem drewna rozbił jej głowę. Pierwszy przykład, że można łapać dał prezes Judenratu. Złapał kobietę z Wiednia, która szła od ciężkiej pracy, roznosiła po domach wodę. I w ten sposób zwykle łapano. Pewien wiedeński policjant Awromsze Wajsbłum wszedł do mieszkania dwóch sióstr Alt z Kalisza. Wyciągnął je z domu używając wymówki, że w Judenracie leżą dla nich dwa listy z Kalisza i że muszą iść je odebrać. Poszły z nim. Po drodze zauważyły, dokąd są prowadzone. Chciały wrócić do domu, ale nie puścił ich i zaciągnął je przemocą. Były to piękne, inteligentne dziewczyny, ojciec ich był adwokatem. Wsadzono je do żydowskiego więzienia. Żydowska policja złapała uciekiniera z Łodzi Ludwika Zalcera, który spędził 6 miesięcy w Dachau. Był złamany fizycznie i duchowo, nosił żelazny pancerz, gdyż SS- złamało mu w Dachau żebra. Uratował się z Dachau i wpadł do [w ręce] Judenratu w Klimontowie. W ten sposób złapali 20 ludzi, najczęściej spośród wysiedleńców. Biednych i chorych wsadzano do więzienia. Wieczorem między godziną 6-7, gdy szedłem do domu zobaczyłem, jak żandarmi wychodzą ze swojej kwatery z karabinami na plecach w towarzystwie kampanii polskich policjantów udali się w kierunku placu przy synagodze, do małej bożnicy, która zamieniona została w więzienie, gdzie siedzieli nieszczęśnicy. Rozkazano wyprowadzić ich z więzienia. Rozkazano wyprowadzić ich z więzienia. Policjant żydowski Putermilch wszedł po nich, związał im ręce

po 6-7 osób i zaprowadził ich do dużej synagogi. Zaczęła się strzelanina. W ten sposób rozstrzelano wszystkich. Dwie siostry Alert ukryły się pod pryczą. Ponieważ do rozstrzelania nie było więcej niż 18 ludzi polski policjant krzyknął, że w więzieniu polskim siedzą właśnie dwaj Żydzi: Mendel Mark i Dawid Zilbersztajn. Można brać. Niemiecka żandarmeria rozkazała ich przyprowadzić, a następnie zastrzelić. W tym czasie jedna z kobiet, które także chciano zastrzelić, wydała, że dwie siostry leżą ukryte pod pryczą. Wyciągnięto te dwie dziewczyny i rozstrzelano. Kilka minut później przybył polski policjant i przyprowadził tych dwóch Żydów z polskiego więzienia. Jeden z nich, Dawid Zilbersztajn, widząc co się szykuje zaczął prosić: - Jestem niewinny, pozwólcie mi żyć. Ale nic to nie pomogło. Zastrzelono ich krótko po tym majster Lescher poszedł, zwołał Judenrat i wygłosił przed członkami Judenratu mowę, iż wie, że zastrzeleni byli niewinni. Powiedział, że od dziś Judenrat musi powoływać na stanowiska policyjne energicznych ludzi, aby taki wypadek już się nie powtórzył, że Żydzi wpadają w ręce polskiej policji. Ściana synagogi oblana była żydowską krwią. W ścianie po dziś dzień zostały dziury po amunicji. Tego dnia osierocony został 13-letni chłopiec, którego matka została zastrzelona. Położył się pod drzwiami żydowskiego donosiciela (łapacza) Chila Rapaporta, szamesa w synagodze, który złapał jego matkę. Krzyczał: - Dlaczego zastrzelono moją mamę? Co z tego, że nosiła podarty szalik? Nie zrobiła nikomu nic złego! Jego płacz wybrzmiewał wszystkimi lamentami. Największy strach akcja wzbudziła wśród wysiedleńców z Wiednia, gdyż najwięcej ofiar było spośród nich. Pytali: Złapali ich Niemcy, czy też ich dostarczono? Byli bardzo wstrząśnięci na wieść, że to Żydzi sami dostarczali [ofiary].

Wkrótce żandarmeria wydała rozkaz, aby żydowska policja nałożyła mundury i czapki.

W Klimontowie nie było getta, gdyż 75% ludności miejskiej stanowili Żydzi, więc trudno byłoby to przeprowadzić technicznie. 3-go września w czwartek, około godziny 11 w dzień, pojawiła się żandarmeria niemiecka w towarzystwie policji żydowskiej. Zaczęli mierzyć ulice od rogu do rogu. Po ich odejście dowiedziano się, że Żydzi nie będą mogli chodzić na rynek, musieli chodzić od tyłu a nie przez rynek. W sklepikach i zakładach [które znajdowały się na rynku] mieszkali przesiedleńcy. Zaczęto gadać, że wszyscy muszą pracować. Codziennie przychodził straszne nowości z innych dystryktów. W pewną sobotę przyjechała dziewczyna z Warszawy i opowiadała o wysiedleniu. Ludzie nie wierzyli, a Judenrat krzyczał, że przyszła jakaś dziewczyna i roznosi fałszywe pogłoski. W inną sobotę przyjechał wóz na którym siedzieli Żydzi z miasteczka Bochnów nad Wisłą, uciekli z wysiedlenia. Prosił Judenrat, aby pozwolił im na pozostanie w mieście, ale Judenrat nie pozwolił im i oddalili się w nieznanym

kierunku. Zarządzono, by wszyscy Żydzi w wieku 16-60 lat zarejestrowali się. Od niemieckiego urzędu pracy otrzymywali czerwoną kartkę z fotografią, podstemplowaną przez niemiecki urząd pracy w Ostrowcu. Wszyscy ci, którzy posiadali te karty, musieli meldować się 2x w tygodniu, ludzie powyżej 60 roku życia odchodzili od zmysłów, czekali na śmierć. Każdy chciał mieć jakieś miejsce pracy. Zaczęto wyrabiać buty ze słomy (słomiane buty) dla wojska. Także tu Judenrat pokazał, do czego jest zdolny. Przywilej pracy przy wyrobie butów otrzymywały rodziny członków Judenratu, ich znajomi i ci, którzy dobrze zapłacili. Później utworzono szop krawiecki. W pierwszy szereg wzięto tych, którzy wpłacili 500-1000 zł. Zapisał się właściciel młyna Jankiel Penczyna, Efraim Watman właściciel restauracji i Wojchernik. Natomiast robotników ponad 100 zakładów krawieckich właściwie tam nie powołano. Pierwszym organizatorem tego szopu był dobry przyjaciel prezesa Dawid Szor. W sąsiadujących miasteczkach, jak Staszów, taki szop legalizowany był przez Niemców. Natomiast w Klimontowie prezes nie był zainteresowany utworzeniem szopu, gdyż nie wierzył, że szopy będą zatwierdzone. Ponieważ nic nie zrobił, z szopu nic nie wyszło, a to zwiększyło liczbę Żydów, którzy zostali wysiedleni. W Klimontowie znajdował się obóz dla Żydów, którzy nie dostarczyli kontyngentu, pracowali oni przy melioracji. Istniała także możliwość, by przy melioracji zatrudnić Żydów. Nowe miejsce pracy nazywało się Nowodzice. Wstęp tam miały jedynie rodziny członków rady i nie pomógł krzyk biednych, że przez cały czas pędzono do pracy ludzi biednych, a teraz ich się nie dopuszcza. Prezes Judenratu na placu przy bejt ha-midraszu odczytał listę tych, którzy wzięci zostali do pracy. Na liście znalazły się nazwiska tych, którzy przez cały czas okupacji nie pracowali. W tłumie wybuchło wielkie wzburzenie, wtedy radny Ejzebuch Hareke, który odczytywał listę, powiedział: Jakże zarzuty mamcie przeciw nam? W pierwszym rzędzie musimy zabezpieczyć siebie, naszych braci i siostry. „Szczęśliwcy” oddalili się wkrótce ze szpadami, a prosty lud patrzył na nich zazdrośnie. Ale miejsce pracy przy melioracji nie było jeszcze zatwierdzone. Niemcy nie potrzebowali robotników, ale pozwolili Żydom pracować, aby uśpić ich czujność. Minął pewien czas i ci co poszli do pracy zobaczyli, że nie opłaca się ta cała historia, gdyż miejsce to nie jest zatwierdzone przez Niemców i zaczęto do pracy wysyłać tych, którzy nie mieli przywilejów w Judenracie. Następnie policja żydowska zaczęła zaciągać do pracy biednych ludzi. Od tamtego czasu aż do ostatniego dnia wysiedlenia, chodziłem do pracy. O to troszczyła się już policja żydowska. Oprócz tego dalej toczyła się praca w skałach, także mimo braku zatwierdzenia od władzy niemieckiej, że Żydzi potrzebni są dla celów państwowych, co odciągnie termin wysiedlenia, ale tak jak już raz powiedziałem prezes nie zrobił nic w tej sprawie.

Pewnej niedzieli blisko wysiedlenia do Sandomierza przybyła niemiecka ekspedycja karna i weszła do Judenratu. Zażądali, by w ciągu pół godziny stawiał się cały Judenrat. Nie wszyscy się stawili na wyznaczoną godzinę. Brakowało wiceprezesa Rapaporta, nie namyślali się długo i nakazali prezesowi Judenrat, adwokatowi Goldbergowi, wyjść. Wyszedł, a oni zastrzelili go. Weszli z powrotem do środka i powiedzieli: „Pies jest zastrzelony”. Zażądali by dostarczono im wiceprezesa. Żydowski policjant, Szymon Bojm, zabrał się za poszukiwanie wiceprezesa, i schwytał go na wsi. Przyprowadził go do Judenratu, a tam zastrzelono go [wiceprezesa]. Podobny wypadek miał miejsce w Kopszownicy, gdzie zastrzelono 10 Żydów z Judenratu i innych. Do Ostrowca przybyli z listą. Nakazali przynieść pewnego ?, gdy go nie przyniesiono, kazali sobie przyprowadzić inny ? i go zastrzelili. Równocześnie strzelali do Żydów na ulicy. Między innymi ranili żydowskiego chłopca. Żydowski felczer ze szpitala udzielił chłopcu pomocy. Mordercy udali się do szpitala i zastrzelili chłopca wraz z felczerem. Na stacji w miasteczku niedaleko nas w noc sederową przybyli do miasteczka, do prezesa Judenratu i zastrzelili go wraz z synem.

Spalone zostało miasteczko Iwonicko a 200 Żydów z miasteczka wypędzono do nas. W poniedziałek rano po wydarzeniach w Sandomierzu, w początku października 1942, gdy robotnicy poszli do skał, Niemcy ze skał zadzwonili z meldunkiem, że potrzeba jeszcze paru ludzi do pracy. Policja wyszła na ulice i łapała ludzi. Oprócz skał i melioracji były jeszcze dwa kamieniołomy, gdzie praca była cięższa. Tam wysyłano uprzywilejowanych. Tam pracował mój szwagier, gdyż był chorym człowiekiem. Dokładnie tego dnia przybył do domu z pracy i złapano go do Międzygórza. Mój szwagier pobiegł na plac synagogi, gdzie trzymano wszystkich złapanych. W tym czasie przyszła moja matka i druga siostra i prosiły by uwolniono szwagra. Moja starsza siostra- jego żona, złapała komendanta Tenenwurcla za rękę i zaczęła całować jego rękę. Złapał ją za szyję i zbił ją. Jej szyja spuchła, wróciła do domu i płakała nie z bólu tylko pytając się, dlaczego pocałowała rękę mordercy. Jednocześnie Awromsze Wajsbłum zbił moją matkę a ona chorowała potem dwa tygodnie. Pobito także moją młodszą siostrę. Nie oszczędzili nawet dziecka mojego szwagra, chłopca w wieku lat 12, który pobity został przez policjanta Mojszele Tencera. Pod koniec Judenrat posługiwał się następującymi metodami: ponieważ z powodu prześladowań bogatsi wyjechali do innych miasteczek, Judenrat wydał rozporządzenie, że za opuszczenie miasteczka bez wiedzy Judenratu wyznacza się 100 zł. kary. Poza tym Judenrat wysłał zawiadomienia do dwudziestukilku osób, o których wiedziano, że są w opozycji do Judenratu, że jeżeli nie podporządkują się rozkazom Judenratu, weźmie się ich jako zakładników.

W wigilię Sukkot robiono w naszym zakładzie garnitur dla komisarza młyna. W wigilię święta, wieczorem, przybiegł do mnie goniec [z informacją], że komisarz żąda bym do nie go przybył. W międzyczasie przybył komisarz z żandarmem, obaj byli pijani. Komisarz powiedział do mnie: -Oddaj mi z powrotem garnitur, gdyż o godzinie 3-giej w nocy zacznie się ... Mój ojciec był w synagodze, dałem komisarzowi garnitur, ostrzegł mnie jeszcze raz: - Trzymajcie się na baczność, bo o drugiej zacznie się sprzątanie (napisane po polsku). Posłałem po tatę, w domu zapanował Tisza be Aw [dzień pokuty], zaczęto się pakować. Poszedłem zaczerpnąć informacji w kulisach Judenratu. Udałem się do Pinchasa Goldbluma, przyjaciela prezesa i poprosiłem go, aby dowiedział się od prezesa, co ten wie. Ale prezes powiedział, że wszystko to nie jest prawdą. Nie można liczyć się ze słowami pijanego goja. W rzeczywistości prezes wiedział o wszystkim, jestem pewien z obserwacji, które poczyniłem. Niedaleko nas znajdował się posterunek żydowskiej policji, a prezes mieszkał także w rynku. Ja nie mając zaufania do słów prezesa, nie położyłem się spać. Widziałem, że u prezesa do późnych godzin nocnych kręcili się członkowie Judenratu. Siedziałem w oknie do godziny 3 w nocy. O godzinie 3 było jeszcze cicho, ale wkrótce po tym, gdy zegar wybił trzecią, z ulicy wyłonili się żandarmi na rowerach a za rowerami jechały 2 auta i zatrzymały się przy mieszkaniu prezesa. Kilka samochodów ciężarowych wjechało na rynek. Obudziłem cały dom, wszystkich sąsiadów w domu. Nie trwało to długo i już stali w drzwiach i wywlekali ludzi na rynek. Także tu wyróżniła się żydowska policja, oprowadzali Niemców i wyciągali z domu ludzi na rynek. Tu wyróżnił się policjant Lejzer Hochman, wyszedł do wysiedleńca Apelbojma z Łodzi, który miał dwudziestokilkuletnią dziewczynę. Zaczął błagać, by zostawiono mu jego dziecko, gdyż jest chory. Niemcy zgodzili się by ją pozostawić, ale Hochman złapał ją za włosy i zaciągnął do auta. Złapano także moją najstarszą siostrę. Zdarzenie to (łapanka) trwało całą noc. Łapali nawet starszych. Przed odjazdem Niemcy, przy zgodzie Judenratu, przeprowadzili selekcje. Moja siostra błagała by ją zostawiono, gdyż ma dwoje dzieci. Prezes nie zważał na nią, aż podeszła do niemieckiego oficera i wskazała mu swoje okulary, [mówiąc] że ma bardzo krótki wzrok i nie będzie w stanie pracować. Oficer zwolnił ją, prezes zwalniał jedynie bogatych. Chciał uwolnić się od biednych nie dając im obiadów. Od pozostałych po selekcji Żydów Niemcy wzięli pieniądze. Rozebrano ich prawie do naga i tak wysłano ich do domu. Aresztowanych odesłano do Skarżyska. Odesłano około 300. U tego samego policjanta Lejzera Hochmana ukryło się w bunkrze wielu ludzi. W bunkrze ukryto wiele dóbr należących do jego rodziny. Żydowska policja wydawała ukrytych ludzi, a Niemcy ich wyciągali. Równocześnie z nimi, wzięli wiele

towarów, które tam były. Niemiecki wysiedleniec, ojciec zesłanej dziewczyny krzyczał na ulicy, że policjanta ukarał Bóg, gdyż odebrał mu córkę i zesłał ją. Podczas obławy w bunkrze ukrył się dwóch Żydów, wielkich chłopców ze wsi. Ich siostra złapana została przez policjanta. Dziewczyna prosiła by ją uwolniono. Judenrat zażądał, aby stawili się jej bracia, wtedy ją zwolnił. Stawili się i zesłano ich razem z siostrą. Tak ohydnie działał Judenrat i policja żydowska. Żydzi zaczęli chodzić do najcięższych prac, kopać buraki w gospodarstwach i do inny. Ale najgorsze miało miejsce w pierwszy czwartek po Sukkot 1942 roku w październiku miało miejsce pierwsze wysiedlenie w miasteczku Łagów w naszym okręgu. Wywarło to straszne wrażenie na naszym miasteczku. Wkrótce dowiedziano się o Zagładzie w Ostrowcu. Z Ostrowca przyjechał Polak i powiedział, że Niemcy strzelali tam do chorych w łóżkach, w swoim tragicznym położeniu Żydzi nie wiedzieli, za co się brać. Czuło się, że krąg zacieśnia się aż do uduszenia. Pobożni, szczególnie kobiety, leżeli całymi dniami na cmentarzu i płakali. Takiego płaczu jak wtedy, nie słyszałem jeszcze nigdy w swoim życiu. Zapalano lampki na grobach zastrzelonych we wrześniu, gdyż groby te traktowano jako groby ofiar. Płacz ten przyciągnął młodych chuliganów, którzy usadzili się na murze cmentarza. Płacz ten dało się słyszeć poza miastem, był to już czas jesieni i płacz przedzierał się przez mgłę. W piątek kobiety zapaliły lampkę na cmentarzu, rabin zwołał całą społeczność żydowską na cmentarz i odprawił Din-tojre, i rebojne szel olem [panie świata]. Potem pochowano kilkadziesiąt ksiąg Tory, rozległ się przy tym wielki płacz. Po odejściu z cmentarza przybył prezes na rozkaz krajshauptmana. Zarzucono go pytaniami. Powiedział, jak zwykle, że Klimontów i Staszów zostają. Wszystkich ogarnęła radość, która trwała nie długo. Około 10-go października niektórzy ludzie podjęli działania, aby pewną ilość ludzi zatrudnić w zakładach Hermanna Geringa w Starachowicach. Prezes dwa razy stanął na przeszkodzie realizacji tego plan, powiedział, że da tylko swoich ludzi, potem poszedł na kompromis i powiedział, że połowa z tych, którzy tam pójść nie musi być wybrana przez niego. 16-go października w piątek ze Skarżyska przybyła żandarmeria z całej okolicy. Żydowska policja biegła po ulicach i krzyczała, aby wszyscy wyszli na zewnątrz. Wszyscy wyszli, cześć, która przeznaczona była do pracy w melioracji, oddaliła się do swojej pracy, a pozostałych mężczyzn zabrano do Skarżyska. Wśród nich znalazły się moje dwie siostry. Aby je wykupić daliśmy Niemcom materiał na garnitur i uwolniono je. W tym samym czasie SS- z jednostki Mokaszin wysłało do Judenratu żądanie, by wysłano im powrozy. Potem powiedzieli, że jeżeli do określonego czasu nie zostanie im dostarczone zasłony, zapalników do kuchni, wywieszają członków rady na środku rynku. Dostarczono im wszystko.

W Sandomierzu było liceum, które zamienione zostało przez SS w obóz dla uprzywilejowanych, którzy mieli przeżyć wojnę. Rozumie się, że za ten przywilej trzeba było słono zapłacić. Do tej oazy chcieli się dostać członkowie rady żydowskiej i policja z naszego miasteczka w wypadku gdyby doszło do wysiedlenia. Za przyjęcie do obozu uiścili już opłatę u SS-manów, tzn. okradli Żydów. Żydowska policja i członkowie Judenratu zabrali towar, meble od zamożnych Żydów i wysłali to do Makoszyna do SS-. Handlarzowi tekstyliami, Józefowi Goldblumowi, policjant Jankiel Grinsztajn rozwalił bunkier i wyją z niego 10 worków z towarem tekstylnym. To samo działo się u innych ludzi, biegali nawet po domach biednych i łapali, co się dało. U nas w domu miał miejsce taki wypadek... Do domu wbiegł radca Jankiel Apelbojm i wyrwał mojej siostrze z rąk torebkę i wybiegł. Polacy, rada miejska, urząd podatkowy wyciągnęli z archiwum dokumenty ze starymi długami sprzed 16 lat. Polacy wyrwali od Żydów ostatnią koszulę. Nadeszło wysiedlenie w Opatowie. Przed wysiedleniem Żydzi musieli jeszcze zapłacić pogłówne. Rozporządzenie przyszło z Landratu. Nastrój wśród młodzieży przypominał nastrój zwierząt w lesie podczas polowania. Nie wiedzano co robić, dokąd biec. Nie było jeszcze w okręgu żadnych partyzantów. Chciano zbiec do lasu, ale chęć ta szybko minęła. W okolicy miał miejsce taki wypadek. Po wysiedleniu w Iwaniska miejscowi Żydzi nawiązali kontakt z Polakiem. Dali mu ciężkie dolary a on zrobił dla nich bunkier w lesie. A kiedy w bunkrze było już 4-5 osób chciał je zamordować. Nocą siekierą rozwalił cały bunkier i prawie nieżywi przybyli do Klimontowa. Nasze miasteczko było jednym z ostatnich, które nie ucierpiało jeszcze z powodu wysiedleń i w naszym miasteczku ukrywali się uciekinierzy z pozostałych miasteczek. Moja rodzina nie była zamożna, mimo to próbowaliśmy się ratować. Mielśmy wielu znajomych chłopów. Umówiliśmy się z chłopem, miał przyjechać po nas furą, zabrać nas i nasze rzeczy i ukryć nas. Moja siostra i brat udali się do niego pierwsi. Gdy już u niego siedzieli, odezwał się jeden z jego synów, [mówiąc] że Żydzi rozbili polskich żołnierzy we Lwowie. Następnie, spostrzegając, że mój brat nosi kozaki [buty wojskowe] powiedział: – Sprzedaj mi te buty. Po takim powitaniu udali się do lasu, do znajomego gajowego i poprosili go, aby nas ukrył, ale odmówił im kategorycznie. Prysły także ostatnie nadzieje zatrudnionych, że są strzeżeni przed wysiedleniem. Udowodniła to łapanka 16-go października, gdyż podczas tej łapanki do Skarżyska, Niemiec, który kierował kamieniołomami w Skale, sądząc, że nadchodzi już wysiedlenie, wziął wszystkich żydowskich robotników i samochodem ciężarowym wysłał ich do Klimontowa. Tego samego dnia 16-go października, sądząc że nadchodzi wysiedlenie do miasteczka przyjechali wozami Polacy, gdyż czuli już łupy. Przez cały czas wysiedlenia ze wsi przybywali chłopci a Żydzi za nic, za kawałek masła, oddawali im towar, wartościowe rzeczy.

Ze wszystkich stron napotykalismy na mur wrogości, nikt nie chciał nam pomóc. W takich okoliczności Żydom, szczególnie pobożnym, pozostało jedno wyjście. Leżeli przez cały dzień na cmentarzu i rozpaczali. Ale płacz i rozpacz nie pomogły wcale. Wywieziono Opatów, Iwaniska, Osiek, Bogorię. Aż przyszła kolej Klimontowa. Dzień przed wywózką przyjechał referent wydziału do spraw żydowskich (Judeneinstatz) przy radzie krajowej (Landrat) bandyta Obladen i nałożył na miasteczko kontrybucje, sprawę tę [egzekwowanie kontrybucji] przekazano w ręce żydowskiej policji i Judenratu. Żydowska policja stała na środku rynku z pałkami i biła ludzi do krwi. Kiedy wróciłem z pracy do domu, zobaczyłem, że w mój dom dotknęło to samo nieszczęście, co wszystkich. Moja mama stała i oddawała chłopu poszewki na poduszki za kawałek masła. Matka, która była oszczędna, powiedziała gorzko: - Widzicie, nie jestem już skąpa, kupiłam rybę na szabat. Ryby nie udało się już zjeść. Tego dnia mój tata był w nieco lepszym nastroju, gdyż dostał z Judenratu karteczkę, że w piątek ma się stawić do szopu. Tylko że w piątek miało już miejsce wysiedlenie. W czwartek w miasteczku panowało jeszcze odprężenie. W czwartek miało miejsce wysiedlenie w Sandomierzu. Stało się to 29-go października 1942 roku. Komendant żydowskiej policji Tenenwurcel, w czwartek wieczorem przyjechał z Sandomierza, i zapewnił że piątek, w sobotę i w niedzielę nie będzie jeszcze wysiedlenia. Ale to był blef. Oszukał specjalnie, aby nikt nie uciekł. Niemiec Obladen, przeszedł przez miasteczko, policja żydowska obesła mieszkania i wyciągała pieniądze, ja, mój tata i mój brat pobiegliśmy do siostry. Brat dał jej do ukrycia 30 dolarów, schowała je w piecu. Zapomniała jednak, że leżą tam pieniądze i przy rozpalaniu pieca, dolary spłonęły.

W piątek 30 października 1942 roku na zewnątrz było jeszcze ciemno, gdy zobaczyliśmy nadjeżdżające samochody. Mój tata powiedział: – Dzieci, ubierajcie się. Ubraliśmy się, kazaliśmy ubrać się siostrze z dziećmi i mężem. Całe miasteczko było już otoczone żandarmami. Mój tata założył tałas i tefilin i zaczął się modlić, ale już nie udało mu się skończyć. Żydowska policja biegała po domach i krzyczała: – Żydzi wychodzić na rynek! Wkrótce ludzie wylegli na ulicę. Szedłem z tatą, mój brat wyszedł z siostrą i matką. Matka w ostatniej chwili ucałowała mezuzę i powiedziała: – Obym miała to szczęście, że wrócę jeszcze do mojej koszernej kuchni. Wyszliśmy na ulicę. Stali tam już SS-mani z Radomia ze znanym Schildenem, organizatorem akcji wysiedleńczej w całym dystrykcie radomskim. Mój tata[mama] dostał od SS-mana pałką w głowę, moja młodsza siostra Małkele została pobita przez SS-mana. Wszystkich Żydów bito i poganiano by ustawili się po 5-7 w rzędach. W miasteczku było wtedy około 7000 Żydów. Ustawiono się. Nasza rodzina zajęła ponad dwa

rzędy. Ojca i matkę wzięliśmy w środek. Moja siostra szła z 16-to miesięcznym dzieckiem. Wziąłem jej dziecko na ręce. Chociaż nie jestem pobożny [przesądny] spostrzegłem, że dziecko nie chciało podnieść główki, dziecko nie mogło się śmiać. Nie trwało to długo aż rynek zapełnił się ludźmi. Z oddali dało się słyszeć strzały. Judenrat założył czapki policyjne, oprowadzał SS-manów po domach. Chorych i tych którzy nie zdołali wyjść z domu, SS-mani zastrzelili. Stawiła się polska policja, SS, żandarmeria, policja bezpieczeństwa [Schutzpolizei]. Polska policja z okolicznych miasteczek, strażacy ze swoim komendantem Piotrem Lasotą, żydowska policja i Judenrat. Żydzi nie byli świadomi, że są to ich ostatnie minuty. Tata mój denerwował się, że zapomniał wziąć z domu swoich watowych rękawiczek, choć jeszcze było ciepło. W miasteczku panowała martwa cisza, nawet małe dzieci nie wydobywały z siebie żadnego dźwięku. Co jakiś czas strzał przerywał ciszę, albo garnek upadł na bruk, dźwięki te rozbrzmiewały w całym miasteczku. Żydowska policja zawołała, że zostają jedynie żydowscy policjanci bez swoich żon i dzieci. Chil Penczyna i inni policjanci opuścili swoje żony i dzieci i pozostali, tylko jeden, Gimpl Himelfarb, odjechał ze swoją żoną i dziećmi. Oberlejtant żandarmerii Endorf z Opatowa, z laską w ręku chodził między rzędami i przyglądał się kogo zostawić. Podszedł do mnie i zapytał mnie: – Kim jesteś z zawodu? Kiedy powiedziałem mu, że jestem krawcem, zabrał mnie wraz z moim bratem i 12 młodymi ludźmi z masy ludzkiej i nakazał nam udać się w oddzielne miejsce. 9 ludzi z Judenratu wysłał z transportem. Pozostał prezes, wiceprezes, Mojszego Penczynę, Icze Wajsbrota, całą kolumnę sanitarną, wszystkich urzędników z Judenratu wysłano z transportem. Komendant żydowskiej policji Tenenwurcel, który pozostał z żoną i dzieckiem, nalegał żeby nas, osoby prywatne, odesłano. Dzięki jego „interwencji” cofnięto do szeregu Lejba Majzelsa, kapelusznika, młodzieńca z Warszawy Mońka Himelfarba i jeszcze jednego chłopca, kamasznika, Chaima Kopersztyka, Szaję Apelbojma. Furmankami przyjechały ukraińskie oddziały likwidacyjne (Vernichtungformation). Rzucili się po między rzędy ludzi z karabinami. Ich twarze wzbudzały strach. Było między nimi wielu Mongołów. Dało się słyszeć rozkaz SS, aby wszyscy Żydzi usiedli na ziemi. Nam, pozostawionym, nakazano abyśmy zdjęli plecaki. W międzyczasie nadjechały puste wozy. Na wóz można było posadzić jednego Żyda, części wozów jechała całkiem pusta. Rozległ się rozkaz –Wstać! Hauptman żandarmerii wszedł do zakładu (sklepiku) wyszedł i powiedział, że leży tam Żyd, a na stole pali się świeca. Był to starszy, siedemdziesięciokilkuletni człowiek, Dawid Apelbojm. [Hauptman] rozkazał żandarmowi, żeby wszedł do domu i strzelał. Żandarm wszedł i wyszedł zaraz mówiąc, że Żyd wisi. Staremu człowiekowi udało się powiesić samemu, aby tylko nie wpaść w ręce morderców. Rozległ się rozkaz, aby ludzie się ruszali. Żandarm, który szedł na

czele pochodu mówi: – Powoli, powoli. 13-letni chłopak z Łodzi, Moniek Goźdzewski, razem z ojcem, matką, siostrą i babcią otworzyli pochód śmierci. Obserwowałem wszystkich przechodzących. Usiłowałem choć z daleka zobaczyć moją rodzinę. Ale rodzice przeszli nie dostrzeżeni przez moje oczy, tylko jeden szwagier, Welwl Grinblat [Szynblat], spostrzegł mnie. Pożegnałem się z nim skinięciem głowy. Judenrat nie miał do powiedzenia nic w sprawie wysiedlenia. Pewna dziewczyna, Małka Ajchenbach [Ajchenbaum], prosiła by ją uwolnić, gdyż jest z Judenratu, zamiast odpowiedzi dostała najałką po głowie. Pobity do krwi został radny Jankiel Abelbojm, do krwi pobity został prezes, krew lała mu się z twarzy. Widząc, że jest z nim źle, gdyż w każdym miasteczku rozstrzelano prezesa, ukrył się za plecami wybranych, i w ten sposób został. Dziewczęta, które zostały przy życiu Endorf zapytał jeszcze: – Nie jesteście w ciąży? Pochód przeszedł przez ulicę Sandomierska, padły ofiary, jako ostatni w pochodzie szedł Szlomke Kwaśniewski, biedny rybak. Szedł w podarowanych butach, nie mógł się ruszać szybciej, Niemcy poganiali i bili. Kiedy pochód wyszedł już z miasteczka, nas, pozostawionych 65 ludzi zaprowadzono do bejt ha-midraszu [dom nauki]. W drodze do bejt ha-midraszu dostrzegłem na chodniku paczkę, spod której tryskała krew. Była to zamordowana kobieta, Sara- Jentl. Wprowadzono nas do bejt ha-midraszu. Jeden płakał, inny usadził się by go ogolić. 15 minut później zobaczyliśmy, jak przed bejt ha-midrasmem wiozą furą wielu zastrzelonych Żydów na cmentarz. Lała się z nich krew, wywołano nas na cmentarz i musieliśmy pochować ciała. Zaczęliśmy kopać groby, trwało to cały dzień. Musieliśmy pochować 68 zastrzelonych i starego Apelbojma, który się powiesił. Między zastrzelonymi było czterdzieści kilka kobiet, i dwudziestukilku mężczyzn. Wielu z nich zastrzelono już po drodze, 5 km do miasta, byli tacy których zastrzelono w ich domach. Pozostali wywiezieni zostali do Treblinki. Praca przy chowaniu była dla mnie bardzo ciężka. Widzieliśmy odrąbane całe głowy i połowy głów, gdyż strzelano do nich z amunicji dum dum. Kiedy wszystko już uprzątnęliśmy przyszedł komendant żandarmerii Dolmayer i powiedział, że groby należy posypać wapnem. Był to piątek wieczór. Radny Hercke Ajzenbuch odmówił kadysz. Wtedy zrozumiałem, że żadne z transportów już nie zawróci, że zostaliśmy osieroceni. Tego samego dnia przybyli ze wsi chłopci i zabrali się za rabowanie. Niemcy zabronili wchodzenia do żydowskich domów. Niemcy zastrzelili jednego Polaka, którego znaleziono w żydowskim domu.

Winę za to, że zaraz na początku wysiedlenia tylu padło zastrzelonych, ponosił prezes Judenratu Motl Szuldman i komendant żydowskiej policji Izrael Tenenwurcel. Część z Żydów przygotowała już sobie kryjówkę u Polaków. Ale dzięki fałszywym informacjom

prezesa, że wysiedlenie odbędzie się dopiero za trzy dni, nie udało im się ukryć i próbowali uciekać, gdy było już za późno. Rzeczywiście zastrzeleni zostali podczas ucieczki. Tylko 5 osobom udało się zbiec. Zastrzeleni w trakcie ucieczki zostali: Kiwe Bojm z żoną, Majr ze wsi Krista, Herszl Bojm, Eb[w]erowicz z bratem i inni. Wielu którzy planowali się ukryć, widząc, że jest już za późno, nie próbowali uciekać i zostali wywiezieni transportami.

W piątek wieczorem, po skończeniu pracy, poszliśmy do domu. Przeznaczono dla nas jeden blok, w którym byliśmy wszyscy razem. W sobotę rano zwołano nas na apel na podwórko synagogi. Podszedł do nas lejtnant żandarmerii, Dolmayer, przywitał się uprzejmie i powiedział: – Czy spaliście dobrze? Później chwilę żartował z dziewczętami, i wysłał nas na cmentarz, byśmy skończyli groby. Na cmentarzu zauważyłem, że nasi Polacy obok grobu ofiar załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne. Skończyliśmy grób i dostrzegliśmy, że na cmentarzu pojawił się srebrzysto-siwy Żyd w wieku dziewięćdziesięciukilku lat, Mojsze Szmidt. Wołano na niego zawsze „wysoki Mojsze”. Za nim naszym oczom ukazał się żandarm Teiser [Tajzer], podążał za nim, wyciągnął swój pistolet i krzyknął: – W prawo! W prawo. Minutę później leżał już martwy. Po pół godzinie przybył na cmentarz strażak i przyprowadził starszą kobietę. Kobieta odeszła ze strażakiem na stronę, podniosła spódnicę i wcisnęła mu coś w rękę. Potem chciała odejść, umówiła się z nim, że będzie mogła odejść, ale on jej nie puścił. Tymczasem przyszedł bandyta Teiser i rozstrzelał kobietę. Musieliśmy teraz wykopać nowy grób dla dwojga rozstrzelanych. Obok wielkiego grobu wykopaliśmy mały grób. Kobieta, która została zastrzelona, Sara Fajnkuchen, prowadziła, wraz ze swoim synem piekarnię. Była bardzo bogata, gdyż, aby móc dalej prowadzić piekarnię robiła przekręty z policjantem Rawkowskim. Oficjalnie cały jej majątek przeszedł w jego ręce. Jej dzieci wywieziono podczas wysiedlenia, ona ukryła się w domu, w piwnicy, a do jej mieszkania wprowadzili się Rawkowscy. Tego samego dnia, w piątek, córka Rawkowskiego, młoda dziewczyna, poszła do komendanta polskiej policji Pajaka i powiedziała, że u nich w piwnicy ukryła się Żydówka. Pajak zameldował to komendantowi żandarmerii niemieckiej, słyszał ten meldunek prezes Judenratu, który właśnie rozmawiał z komendantem żandarmerii, Dolmayerem. Dolmayer powiedział: – Co z nią zrobicie? Chciał wysłać ją do Staszowa, gdzie byli jeszcze Żydzi. Machnął ręką, żeby ją puszczone. Siksa jednak nie dała za wygraną, poszła jeszcze raz do Niemców i powiedziała, że w jej piwnicy znajduje się Żydówka. I komendant nakazał ją rozstrzelać.

W sobotę 31 października 1942 przybiegł jeden, który zbiegł z transportu. Dwaj Polacy dostarczyli go do Klimontowa i przekazali go w ręce strażaków. Jeden z nich, chcąc zarobić kilka złotych wykupnego, przyprowadził go do nas do domu. W ten sposób tymczasowo uwolnił się od śmierci. Pewien Żyd, który nazywał się Berisz Bojm, uciekł ze wsi Złota, niedaleko Sandomierza. Powiedział, że przez całą drogę Niemcy dołączali okolicznych Żydów do transportu. [Berisz Bojm] ukrył się później wśród Polaków, aż przyszli do niego polscy partyzanci i zażądali, aby wskazał im, gdzie znajduje się jego towar i maszyny, które ukrył. Kiedy pokazał im wszystko, zamordowali go. Żydowski dentysta z Klimontowa, Przytycki, jeszcze przed wysiedleniem wyszedł z miasteczka i wędrował z jednej wsi do drugiej. We wsi Węgrzec położył się spać w stogu siana. Dostrzegł go tamtejszy mieszkaniec, chłop Pawłęga, złapał go, przyprowadził do miasteczka i przekazał wicekomendantowi polskiej policji, Dłubakowi. Dentysta dał Dłubakowi 5000 złotych, aby uratować swe życie. Ten wziął pieniądze a jego oddał w ręce Niemców. Po rozstrzelaniu [Dłubak] ściągnął mu z nóg buty i zabrał je sobie. Wysiedlenie nie nauczyło Judenratu nic. Żandarmeria niemiecka wydała rozkaz, że rzeczy pozostawione w domach żydowskich, mają zostać przeniesione do bloku. Członkowie rady żydowskiej wzięli dla siebie najlepsze produkty i nakazali nam ugotować zupę. Fizycznie nie pracowali. My musieliśmy sortować rzeczy, które pozostały po Żydach, załadować je na fury, pracować przy grobach.

Przez te 15 dni, kiedy byliśmy w Klimontowie zobaczyliśmy, jak Niemcy sprzedają na licytacjach rzeczy żydowskie za hańbiąco niskie ceny. Stworzyła się walka konkurencji między polską ludnością z miast a ludnością wiejską, [starano się] nie dopuścić ludności wiejskiej do skupowania lepszych rzeczy. Niemcy wydali rozporządzenie, że nikt z ludności nie może wchodzić do domów żydowskich. W ten sposób polska kobieta ze wsi Konary, która weszła do żydowskiego mieszkania, została zastrzelona na miejscu przez niemieckiego żandarma Teisera. Część z pośród nas przygotowywała się do ucieczki. Zaraz na początku zbiegli: Awrom [Abraham] Złotnicki, Mietek Apelbojm i Icie Wajsbrot. Mietek Apelbojm wrócił po dwóch dniach, gdyż nie miał się gdzie ukryć. Wszedł do mnie do pokoju, komendant żydowskiej policji dowiedział się, że on wrócił. Wszedł do pokoju, zażądał aby on wyszedł a mi powiedział, że będę musiał oddać życie jeśli on pozostanie tu na noc (Codziennie musieliśmy wychodzić na apel) Nocą opuścił moje mieszkanie, ukryła go chrześcijańska dziewczyna, ożenił się z nią i żyje. Potem uciekło jeszcze trzech policjantów: Jankiel Apelbojm, Jankiel Grinsztajn, Mojsze Tencer. W dzień przed tym, gdy miano nas wyprowadzić do Sandomierza, część przygotowywała się jeszcze do ucieczki. Tylko prezes z

komendantem policji Tenenwurcelm zrobili wszystko, aby nikt nie uciekł. Tenenwurcel własnymi rękami zamknął wszystkie boczne drzwi. Ale podczas dnia, gdy bramy były już otwarte, a wozy czekały na nas, ostatni dwaj, Zalman Bojm i Zewek Gotfrid, uciekli. Obaj żyją.

W Sandomierzu

W niedzielę 15 listopada 1942 wozami wywieziono nas do Sandomierza. Wieczorem przybyliśmy do Sandomierza. W Sandomierzu prezes ze swoją rodziną i komendant policji żydowskiej ze swoją żoną i dziećmi oddalili się do liceum a nas zaprowadzono do bloku, w którym żyli pozostawieni przy życiu Żydzi z Sandomierza do komanda porządkowego [Aufräumkomando]. Byli tam już zebrani Żydzi z Sandomierza i Klimontowa. Obecna była sandomierska i klimontowska policja. W Sandomierzu każdego dnia odbywał się apel i każdego dnia sprzątać musieliśmy domy żydowskie. Tak było od 16-go do 19-go listopada. Sądziliśmy, że po ukończeniu pracy, wyśle się nas do obozu. Stało się jednak inaczej. W czwartek 19-go listopada podczas apelu, komendant żandarmerii Dolmayer zameldował nam, że zgodnie z rozporządzeniem najwyższych władz, w Sandomierzu utworzono Judenstadt [miasteczko żydowskie] i tymczasowo zostaniemy tu. I od tego dnia przybywali tu Żydzi z dalszych okolic, ze Staszowa, Stopnicy, Pińczowa, Jędrzejowa etc. Liczba ludności w naszym miasteczku zaczęła z dnia na dzień wzrastać. Jednocześnie żandarmeria ustawiła dookoła żydowskiego miasteczka parkan, wysoki na ponad 2 metry. Lescher, znany żandarm, wyznaczony został na komendanta getta. Przy [budowie] parkanu najwięcej pracowali Żydzi z Klimontowa. Żydzi mogli mieszkać tylko w jednej części ulicy żydowskiej. Ale ponieważ liczba Żydów zwiększała się, przydzielono do getta także część ulicy Zamkowej. Problem mieszkań w getcie był nie do zniesienia. W jednym pokoju upychano 25 do 30 osób. Głód stał się niebezpieczny. Władza niemiecka nie troszczyła się o getto. Za szmuglowanie chleba do getta Żydów rozstrzeliwano. W getcie zebrało się od 7 do 8 tysięcy ludzi. Wybuchła epidemia tyfusu. Choroba atakowała ludzi dookoła. W getcie utworzono szpital, który składał się z kilku pokoi. W getcie byli zebrani wszyscy pozostawieni policjanci i członkowie rad żydowskich. Jako prezesa sandomierskiego Judenratu wyznaczono byłego prezesa opatowskiego Judenratu, Mordechaja Wajsbluma, wiceprezesem został były prezes klimontowskiego Judenratu, Motl Szuldmann, położenie mas było ciężkie, godzinami stano po przydział chleba, jak również na zupę z kuchni przy Judenracie.

Uwagi do stosunków w Sandomierzu, zanim miasteczko zostało [wyznaczone na]

Judenstadt

Gdy przybyliśmy do Sandomierza dostrzegliśmy w bloku Żydów, którzy ukryli się przed deportacją (było to w czasie kiedy Sandomierz był miasteczkiem żydowskim). Pośród nich błąkał się chłopczyk o nazwisku Alter. Jego rodzice zostali wywiezieni do obozu w Mielcu. Zanim wyjechał z żoną do Mielca, oddali dziecko Polakom. Nie zwracając uwagi, że chrześcijanin dostali za dziecko od rodziców wielki majątek, przyprowadzili dziecko do Aufräumkomendanta [komendant porządkowy] w Sandomierzu. Dziecko próbowało ratować się samo, kiedy [chłopiec] słyszał, że zbliżają się żandarmi, zwykł był kryć się pod łóżkiem, lub gdzieś indziej. Później nocą przychodził do nas. Pośród tych, którzy się ukrywali napotkałem kobietę z dzieckiem i jeszcze inną starszą kobietę. Spały w piwnicy. Żydowska policja nie dawała im spokoju szczuła je aby odeszły. Zanosiliśmy im chleb i herbatę do piwnicy. Policja dowiedziała się o tym i zażądała od nas, abyśmy nie dawali im jedzenia. Pośród policjantów znajdował się Ridalman, oraz kuzyn kobiety z dzieckiem Gorzałczański, który żyje, mieszka w Łodzi i ma sklep z produktami tekstylnymi przy ulicy Piotrkowskiej. Straż pożarna w Sandomierzu poszukiwała ukrytych Żydów. Gdy spotkali kogoś, od razu strzelali. Tak było aż do utworzenia miasteczka żydowskiego.

Niebezpieczne położenie w miasteczku żydowskim doprowadziło ludzi do tego, że zaczęli próbować wykradać się za parkan. Strzelano do nich od razu. Pewnego razu majster Lescher przybył wozem do szpitala w getcie. Nakazał wszystkich chorych, nawet tych którzy zdrowieli, którzy wypisani zostali już do domu, położyć na wozach, wywieziono ich na cmentarz i tam zastrzelono ich.

Innym razem przybył żydożerca Hauptman Gejer z Kielc. Wszedł do getta i wyciągnął ostrowieckiego rabina na plac szkolny i sam go zastrzelił. Potem wcisnął mu w usta papierosa i w ten sposób go obfotografował. Nasza grupa z Klimontowa zapoznała się z Polakiem z Wiązownicy. Chcieliśmy, aby ukrył on nas u siebie. Ten zgodził się. W tym czasie zwrócił się do nas przesiedleńca z Łodzi, który wcześniej mieszkał w miasteczku Zawichost, a potem znalazł się w miasteczku żydowskim. Zaproponował nam, że zaprowadzi nas do partyzantów z okręgu lubelskiego, gdyż zna ich. Chodził ubrany w futro, chociaż Żyd nie miał prawa nosić futra. Powiedział, że będzie w okolicach Lublina. Obiecał też, że w noc kiedy nas wyprowadzi do lasu, da nam pistolet. Okazało się jednak, że był to szpieg niemieckiej żandarmerii. Przypadkowo dowiedzieliśmy się o tym od wiedeńskiego żyda Wała, który mieszkał razem z nami i był z grupy, która miała iść razem z nami do lasu. Wał był malarzem i jako ten pracował w żandarmerii. Zauważył, że ta sama osoba, siedzi obok komendanta żandarmerii Dolmayera, który zapisuje coś zgodnie z tym, co ta osoba mu przekazuje.

Wkrótce zerwaliśmy z nim. Jednocześnie próbowaliśmy nawiązać kontakt z PPR przez staszowskiego Żyda, który pracował na szosach, przekazał list do **Kamionki** gdzie byli jeszcze Żydzi, aby przez nich nawiązać kontakt z PPR. Ale nic z tego nie wyszło, gdyż nadeszło drugie wysiedlenie Sandomierza. Także kontakt z Polakiem Ratkowskim, przerwał się. Prezes Judenratu Szuldman, czując że zbliża się wysiedlenie, chciał zarobić parę złotych. Wpadł na pewien pomysł. Wystawił listę wszystkich Żydów z Klimontowa. Wielu Żydów chciało być na tej liście i za to brał od nich pieniądze. Np. Od Sarele Flisfeder i jej męża wzięto 600 zł, na tej liście starali się być Żydzi, którzy przybyli do Sandomierza nielegalnie, jako uciekinierzy z innych miasteczek. Kilka dni przed wysiedleniem Niemcy wydali rozkaz, który miał nas zmylić. Nakazali aby wszyscy, którzy mieli w rodzinie ofiary, zarejestrowali się. Judenrat wziął przy tej rejestracji po 5 złotych od osoby, zarejestrowało się 2000 Żydów. Żandarmi nakazali, aby szybko zamknąć listę, wielu ludzi nie zdołało się zapisać. Ostatnie dni przed wysiedleniem, dookoła parkanu nie zwracając uwagi na to, że była to maskarada, paliły się wielkie lampy, które oświetlały getto. Dookoła getta kręciły się niemieckie i polskie patrole. 5 dni przed wysiedleniem Lescher powiedział, że odbędzie się wysiedlenie. Lescher powiedział, że 300 osób będzie mogło iść do obozu w Skarżysku. Błakaliśmy się jak otruci. Chciano dać po 1000 zł. od człowieka za wyprowadzenie nas przez drzwi bramy, ale było to niemożliwe.

10 go stycznia 1943 getto obstawione zostało przez litewskie i ukraińskie komanda likwidacyjne. Wydany został rozkaz, że nikt nie może wychodzić z getta, nawet tacy ludzie jak dr Kaplan, Sikorski, członek sandomierskiego Judenratu, którzy mieli legitymacje, nie mogli wychodzić z getta. Lescher, komendant getta, zadeklarował, że gdyby Pan Bóg chciał wyjść, jemu także nie wolno. W piątek wieczorem, dookoła parkanu pojawili się Ukraińcy i zaczęli rabować żydowskie domy. Członkowie Judenratu zaczęli sporządzać listę członków rady, którzy mieli zasługi u Niemców. Troszczył się o to Mordechaj Wajsbłum, prezes urzędu Nodl Edelman, radny z Sandomierza, komendant policji żydowskiej w Sandomierzu, Maks Rapaport. Jest on teraz dyrektorem fabryki gilz w Łodzi. Ukrywał się potem na polskich papierach w Warszawie. 9-go stycznia, w sobotę, dzień był straszny. Wielu próbowało przejść przez parkan i zostali od razu zastrzeleni. Judenrat, wziął od bogatych Żydów wielkie sumy pieniędzy i obiecał, że wstawi się ich na listę wybranych. I tak u jednego z dzisiejszych członków centralnego komitetu żydowskiego w Warszawie Zonszajna wzięli 5000 zł. Nie zważając na to, zabrano go do transportu. Wyskoczył ze swoją żoną z pociągu i w ten sposób przeżył. W ten sposób nadeszła niedziela, 10-go stycznia. Wszyscy wyszli na ulice. Getto

pełne było żandarmów, policja bezpieczeństwa i SS. Kręcili się z pałkami i bili przechodzących Żydów, wysiedlenie w Sandomierzu było dużo straszniejsze niż w Klimontowie. Żydzi nie wychodzili z getta przez bramy, tylko wylamano kawałek parkanu. Po drodze ułożono kamienie, aby Żydzi upadali. Po obu stronach stały szpalery SS- i biły każdego Żyda. Tego dnia był wielki mróz i było ślisko. Wszystkim Żydom odebrano plecaki, pozostawiono plecaki jedynie 300 Żydom, którzy mieli udać się do Skarżyska. Przy wyjściu z getta stał komendant, majster Lescher, z naładowanym pistoletem, wyciągał z szeregu i strzelał. W ten sposób zamordował tego dnia 60 ludzi. Przy wyjściu z getta znajdowała się góra ciał zamordowanych przez niego. Temu samemu Zonszajnowi żandarmeria pozwoliła zostać w komandzie porządkowym. Gdy jego żona krzyknęła, że jest także wśród wybranych, wśród obecnej żandarmerii i SS-manów wybuchł śmiech. Śmieli się, że jest ona „wybrana do pieca”. A jej mężowi udzielono moralnego pouczenia. Zapytali go czy chce zostać, czy też woli iść z żoną, odpowiedział, że chce zostać. Zapytał go majster Lescher: –Jak długo ożeniony jesteś z tą kobietą? Odpowiedział: –17 lat. Wszyscy stali się dzicy jak bestie. Być może nie chciał on sam pozostać, ale jego synek był chory na tyfus plamisty i z jego powodu chciał on zostać. Lescher wypędził go z innymi. Dziecko jego pozostało w Sandomierzu. Kiedy wyzdrowiało Polak razem ze swoją kuzynką zabrał je do Warszawy. Ale po drodze ich zamordował. Polak nazywa się Leszek, mieszkał w Sandomierzu. Wiele było takich przypadków mordowania Żydów przez Polaków. W getcie istniała także żydowska policja, 40-50 żydowskich policjantów z całej okolicy. Podzielili los wszystkich, nie pomogła wierna służba i poddanie. Wypędzono ich wraz ze wszystkimi. Jedynym wyjątkiem był Szymon Bojm. Jego pozostawiono wraz z żoną, był to ten sam policjant, który złapał i dostarczył do gestapo wice-prezesa sandomierskiego Judenratu. 9-go stycznia 1943 roku miał miejsce następujący wypadek: rodzina z Klimontowa ukryła się na wsi. Mieli schron w lesie. Było to zimą, spadł śnieg, mali chuligani dojrzel na śniegu ślady. Po śladach doszli do schronu. (Były to ślady chłopca, który dostarczał im jedzenie). Dowiedziano się o tym na wsi. Powiadomiono policję i złapano dwójkę dzieci z tej rodziny, rodzice zdołali uciec. Dzień przed wysiedleniem w Sandomierzu przywieziono dzieci wozem do getta. Przywiózł je policjant Skrzypczek. Wszystkich, których dotychczas pozostawiono przy życiu, zabrano do domu nauki. I w tym samym czasie żandarmeria załatwiała Żydów. Kiedy byliśmy w bejt ha- midraszu polska policja rabowała żydowskie domy. Gdy weszliśmy później do domu, zastaliśmy wszystko, jak po pogromie. Kiedy byliśmy w bes midrasz zobaczyłem przez okno, jak majster Lescher stoi z lejtnantem żandarmerii Dolmayerem. Lescher wywołał z bejt ha- midraszu jedną z komanda porządkowego panią Surcze Goldfinger-Trejstman, żonę syna łódzkiego rebego Trajstmana.

Naciskał ją, by powiedziała, gdzie ukryli się jej rodzice, gdyż chciał jej rodzinę, ojca, matkę siostrę, uwolnić. Powiedziała, że nie wie, gdzie oni są. Powiedzieli jej, że ją zastrzelą, jeżeli ich nie wyda. Wtedy wskazała ich kryjówkę, a ponieważ się ukrywali wysłano ich do Treblinki. Ją i jej męża pozostawiono. Siostra komendanta Herzberga [który przebywał] w liceum, pani Sachanowicz, miała małe dziecko. Prosili by zostawiono ją z dzieckiem w liceum, oni jednak dziecko chcieli zostawić w getcie, aby wysłać je wraz z wysiedleńcami. Ona nie zgodziła się na to i z dzieckiem wyjechała do Treblinki. Rano, w dzień wysiedlenia 10-go stycznia 1943, wypila truciznę. Ale ponieważ trucizna nie zadziałała dobrze, żandarm musiał ją zastrzelić. I dopiero potem przybył dowódca SS- Bulion, i chciał zabrać ją do liceum, ale ona była już martwa. Tych którzy pozostali w bejt ha- midraszu wypędzono na rynek, aby zebrali martwych i plecaki. Także ja znalazłem się pośród nich, moim oczom ukazał się następujący obraz: w szpitalu miejskim leżał młody człowiek, tego dnia miał już wychodzić. Był ze Staszowa, ze szpitala zaprowadzono go na rynek w bieliźnie, owiniętego w koc. Koc mu odebrano i odstawiono go do transportu. Majster Lescher wywołał go i powiedział, aby z plecaków wybrał sobie coś do ubrania. I, kiedy ten schylił się, by coś sobie wziąć, Lescher machnął do żandarma, aby go zastrzelił i zastrzelono go. Nie daleko od tego miejsca, obok domu na progi siedziała kobieta z dzieckiem, tak siedzącą z dzieckiem na rękach zastrzelono ją. Z miasta do stacji kolejowej było około 2-3 kilometrów, droga z dwóch stron usiana była zastrzelonymi Żydami. Po drodze leżały zdjęcia, drobnutko porwane dolary [zniszczone] by nie dostali ich Niemcy. Na stacji kolejowej przy ładowaniu ludzi na wagony stały szpalery SS- i mocno biły pałkami po głowach. Jednocześnie, przed pociągiem ściągano wszystkim Żydom palta, części odebrano nawet marynarki i buty. Zostali bosi w wielkim mrozie. My z komanda porządkowego ładowaliśmy palta na fury, i woziliśmy z powrotem do getta. Do pomocy w komandzie porządkowym wzięto z pociągu 3 Żydów z Łodzi. Ci trzej ludzie byli przeszczęśliwi, że zabrano ich z wagonów. Pośród nich znalazł się ojciec z synem. Jeden z nich cieszył się, że znalazł w palcie kilkaset złotych. Wieczorem, gdy wszystko już załadowane było na fury, przyszedł żandarm i wydał rozkaz swojemu towarzyszowi Edwardowi Kolumie: – Zabić tych trzech Żydów. Ten długo się nie zastanawiał i zastrzelił pierwszego i drugiego. Trzeci krzyknął: –Przecież pracujemy! Żandarm uderzył go kolbą, ten upadł a żandarm zastrzelił go. Kiedy wozy z martwymi i płaszczami przybyły do getta, palta złożyliśmy w synagodze, a martwych, jak śledzie ułożono na dziedzińcu. Cały dziedziniec synagogi pokryty był martwymi ciałami. Tego dnia naliczono 160 zastrzelonych. Pośród nich znalazło się 12 zastrzelonych dzieci w wieku od kilku tygodni do 10 lat. Niemowlęta zawinięte były jeszcze w beciki. Wieczorem dobiegł końca dzień pracy i poszliśmy spać do

naszego starego mieszkania. W mieszkaniu wszystko było rozkradzione przez polską policję. Nocą, gdy byliśmy już w mieszkaniu, usłyszeliśmy [dochodzące] z sąsiedniego mieszkania głośne jęczenie. Zapaliliśmy lampę i poszliśmy tam zobaczyć, kto tak jęczy. Widzimy, że w kuchni na łóżku leży zastrzelony Żyd, w drugim domu leżą na rozrzuconej słomie dwaj zastrzeleni Żydzi. Jeden z nich, który był tylko postrzelony, jęczał. Był już nieprzytomny. Niestety męczył się w ten sposób przez całą dobę, aż zmarł. W ten sposób zakończył się dzień 10-go stycznia 1943 roku. Rano wszyscy 65 których pozostawiono przy życiu stawili się na apel w getcie. Getto wyglądało strasznie. W getcie nie było już ciasno, było już dużo miejsca. Z tysiąca ludzi nie pozostało nic. Walały się plecaki, kamienie czerwone były od krwi. Na apel przyszedł Lescher z komendantem policji Dolmayerem. Zaprowadzono nas na cmentarz, Lescher wydał rozkaz, mamy wykopać grób, kobiety zostały sortować rzeczy. Grób miał mieć jakieś 20 metrów długości, 2 metry głębokości, 1.80 szerokości. Był mróz, praca była bardzo uciążliwa. Wykopanie tego grobu trwało dłużej niż tydzień, przy czym każdego dnia wzrastała liczba Żydów, których wylapywano na drogach, na wsiach, w miasteczkach i przyprowadzano ich do getta. Stamtąd wyprowadzano ich na cmentarz i rozstrzeliwano. Pewien chłop przywiózł zastrzelonego Żyda wozem, widać było, że bito go przed śmiercią, gdyż jego ręce były czarne i ? . Gdy grób został ukończony liczba zastrzelonych ze 160 z dnia deportacji wzrosła do 300 ofiar.

Komentarz [A.Sz3]: ręk. str.
50 dół

Ponieważ martwi przez cały tydzień leżeli na dziedzińcu, przymarzli do ziemi. Trzeba ich było dorywać od lodu łopatami. Gry praca na cmentarzu została zakończona, część zabrano do pracy dla wermachtu w garnizonie, część wzięto do „rolnika” towarzystwa maszyn rolniczych. Tymczasem nadeszła wiadomość, że w niektórych miasteczkach żydowskich podpalono komando porządkowe benzyną. Inni mówili, że ich zastrzelono. W ten sposób żyliśmy wciąż w śmiertelnym strachu. W pierwszych dniach kiedy łapano Żydów w kryjówkach, strzelano do nich na miejscu. Później to się zmieniło. Gdy złapano Żyda, wpuszczano go do getta. W pierwsze dni, gdy chodziliśmy kopać groby prowadził nas policjant żydowski. Pewnego razu wieczorem, gdy szliśmy z cmentarza do getta, podszedł do nas sandomierski Żyd Zelik Sztrump, podszedł do policjanta Abrahama Lejba Watermana i poprosił go, by ten pozwolił mu przyłączyć się do naszej grupy. Policjant nie chciał mu na to pozwolić. Następnego dnia rano żandarmeria przeprowadziła obławę w okolicy liceum. Wśród innych wpadł także Zelik Sztrump. Zastrzelono zarówno jego, jak i innych Żydów. Puszczano tylko tych Żydów, którzy sami przyszli do getta. Od czasu do czasu do getta przychodzili Żydzi. Byli to ludzie, którzy wyskakiwali z transportów i inni. Liczba ludzi w

getcie wzrosła do ponad 100. Po ukończeniu grobu Żydzi pracowali przy sprzątanu mieszkań po wysiedlonych. Meble wywieziono na cmentarz, sprzęt składowano w innym miejscu itd. Widzieliśmy w domach 8-10 pryczy, gdyż Żydzi mieszkali w wielkiej ciasnocie. W jednym z mieszkań zobaczyłem w piecu spalone towary tekstylne. Z mieszkań nie można było nic zabrać. Zdarzyło się, że ktoś zobaczył w domu słoiczek smalcu i wziął go sobie. Z tego powodu zostawał zastrzelony. Po pewnym czasie utworzono w getcie szop szewski i szop krawiecki. Stolarze zatrudnieni byli w swoim zawodzie, ale każdy z nas myślał nad ucieczką z getta. Razem z nami był Chil Lederman z Klimontowa. Uciekł z getta na wieś, gdzie ukrył się u chłopca. Ponieważ baliśmy się, by nie pociągnięto nas za to do odpowiedzialności, umówiliśmy się z jego bratem, który także był w getcie, że gdyby nas pytano, powiemy, że nie był on normalny, że kłócił się wciąż z bratem i groził, że ucieknie. Tymczasem minęło 8 dni a żandarm nie zorientował się, że on uciekł. Jeden z policjantów, Chil Penczyna, nie mógł znieść tego i opowiedział o tym żandarmerii. O donosie dowiedzieliśmy się w następujący sposób: Podczas apelu żandarm zapytał brata zbiega, gdzie on jest. Brat opowiedział tak, jak się umówiliśmy, że był nienormalny i wczoraj uciekł. Żandarm kazał wystąpić wszystkim Żydom z Klimontowa poza mną i ustawić się pod ścianą. Potem wywołał mnie i powiedział: – Jesteś przecież krawcem, siedzisz cały dzień w domu, powiedz, kiedy uciekł? Powiedziałem to samo, co jego brat. Żandarm zawołał Penczynę, aby powiedział, kiedy tamten odszedł. W ten sposób zrozumieliśmy, że Penczyna doniósł. Tak zakończył się ten incydent.

Do getta przybywają różni ludzie: z kolei, z kryjówek u Polaków, ze Skarżyska. W dniu wysiedlenia żandarm specjalne mścił się na radnych Judenratu i żydowskich policjantach. Nie wysłał ich do Skarżyska, lecz do Treblinki. Kiedy członek Judenratu Szklarski wystąpił i poprosił, aby przydzielono go do grupy [jadącej] do Skarżyska, [żandarm] pobił go dotkliwie i odesłał go z transportem. Podczas transportu wielu Żydów wyskoczyło z wagonów, wielu zastrzelono, gdy wyskakiwali z pociągu. W ten sposób zastrzelony został ten sam Szklarski, policjant Meir Wajsbrot, szwagier klimontowskiego prezesa.

My, którzy pozostaliśmy w getcie, nosiliśmy się z planami ucieczki. Jednocześnie dowiedzieliśmy się, że w Klimontowie wśród Polaków powstał komitet do mordowania Żydów. Jak już wiemy, była to organizacja AK. Kilku młodych ludzi w Sandomierzu, którzy chcieli uciec, postanowiło zdobyć broń. Nawiązali kontakt z Polakiem, wysłali go do Staszowa, by zorganizował broń i ten sam człowiek wydał ich niemieckiej żandarmerii. Rano podczas apelu przybył majster Lescher i żandarm Schuman, wywołali pewnego

Krakowskiego i go zapytali, dlaczego nie poszedł do pracy. Podniósł się aby odpowiedzieć, a wtedy Schuman zaczął go mocno bić, a majster Lescher kazał go aresztować. Żydowska policja osadziła go w żydowskim areszcie. Następnego dnia wyciągnięto go na plac przed synagogą i rozstrzelano. Po raz drugi ten sam Szuman przybył pewnego dnia do getta i od razu wszedł do mieszkania Mojsze Mandelbojma. Tam spotkał Jankiela Wenera, pewnego ? o przezwisko „Boże daje” (tak napisane po polsku) i trzeciego, wysiedleńca z Bydgoszczy, Jurka Wajsmiana. Jak się okazało, był to donos Nodla Rajdermana, członka Judenratu z Sandomierza. Pierwszego z zebranych, Jankiela Wenera, żandarmeria poszukiwała, gdyż nie był zameldowany w getcie. Kręcił się niedaleko getta, a od czasu do czasu wchodził [do niego]. Przyprowadzono ich wszystkich do żandarmerii, i krótko potem zastrzelono na cmentarzu. Pewnego dnia z Ostrowca przybyło SD (Sicherheitsdienst – służba bezpieczeństwa) było to w lutym 1943. Pytali o człowieka o nazwisku Batyst. Był on dentystą, i był winny pewnej firmie pieniądze za maszyny. Przyszli do niego upomnieć się o pieniądze za maszyny, których dawno już u niego nie było. On sam był już w Skarżysku. Jednocześnie pojechali do liceum, wzięli komendanta z obozu w liceum Jurka Hercberga z Łodzi i go zaprowadzili do aresztu miejskiego a przed drzwiami aresztu dali mu kulę w głowę. Powód tego był następujący: liceum było pod kontrolą SS. Ciągłe odbywał się tam handel wymienny z Żydami. Między żandarmerią a SS istniał pewien antagonizm. Żandarmeria niechętnie odnosiła się do tego, że SS robi takie dobre interesy. Dlatego zastrzelili Hercberga. Goldfinger, która wydała swoich rodziców miała w Warszawie rodzinę ze strony męża. Rodzina ta starała się wziąć panią Goldfinger z mężem do Warszawy. Brat męża, Trejstman, z notą od SS przybył po nich z Warszawy. Szofer samochodu też był Żydem. Mieli przepustkę, która pozwalała im na swobodne jeżdżenie. Kiedy szofer stał u bram getta, przybył Żyd Tugan i wykrzyknął: – Ręce do góry! Zapytał go, po kogo przyjechał. Zatrzymano szofera, zatrzymano też szwagra pani Goldfinger. Następnie aresztowano panią [Sarę] Goldfinger z mężem i w tym momencie, gdy prowadzono ich do więzienia w Sandomierzu, do ich mieszkania wszedł Nodel Rajderman i komendant żydowskiej policji Maks Rapaport, który teraz mieszka w Łodzi i jest dyrektorem fabryki gilz. W tym samym mieszkaniu mieszkali jeszcze Żydzi Goldman i Rapaport nakazał aby wskazali, gdzie leżą pieniądze. W ten sposób dziedziczyli pieniądze aresztowanych jeszcze za ich życia. Kilkaset dolarów i złotych ukrytych było pod szafką. Następnego dnia [panią] Garfinkel z mężem, z szoferem i szwagrem zastrzelono na dziedzińcu więzienia. Gdy żandarm Schuman przyszedł drugi raz do getta spotkał Jurka Wajsmiana, który jakiś czas temu uciekł od Mojżesza Mandelbojma. Zaczął na niego polować, przyszedł mu z pomocą

Nodel Rajderman i jeszcze jeden Żyd Lejbele Kogut, 60-letni krawiec. Ale Jurek wszedł do jakiegoś domu i zniknął z getta. W Sandomierzu dookoła liceum kręciło się wielu nielegalnych [przebywających nielegalnie na terenie getta] Żydów. Pewnego dnia miała miejsce oblawa, złapano kilku Żydów i zaprowadzono ich na rozstrzelanie. Pośród nich znalazł się żyd Awremele Adom. Już będąc na cmentarzu zdjął z siebie grubą kurtkę. Podbiegł do funkcjonariusza służby bezpieczeństwa (SD) który prowadził ich na rozstrzelanie. Zarzucił mu kurtkę na głowę, uderzył go kilka razy mocno w głowę i uciekł, ale jakiś czas później Polacy zamordowali go.

Genia Kłos była kochana w całym Sandomierzu. Pomagała ukrytym na wsiach Żydom, innym przynosiła pieniądze i listy. Kręciła się swobodnie wśród chłopów. Wielu Żydów umieszczała na polskich placówkach. Jej tata był robotnikiem rolnym. Jej rodzina składała się z prostych zwykłych, wiejskich ludzi. Pewnego dnia polski policjant rozpoznał ją i zastrzelił. Był to jeden z polskich policjantów, którzy zastrzelili wielu Żydów. Jego rodziną był Kaleta i Bachlaszko. Pod koniec marca 1943 rozmawiano o tym, że część Żydów pojedzie do liceum, a inni pójdą do obozu. Rozumie się, że pierwszeństwo w pójściu do liceum mieli członkowie Judenratu i ci, którzy mieli wiele pieniędzy. W poniedziałek 5-go kwietnia mała grupa wzięta została do liceum, a w środę 7-go kwietnia większa liczba Żydów została wzięta i zaprowadzono ich do wsi Kamień [Nowy] 5 km od Sandomierza, gdzie przejęto huta szkła. Także ja znalazłem się w tej grupie, która przeznaczona została do pracy w hucie szkła „Metan”. Wyprowadzono nas z getta, przyszedł folksdojcz i Polak Mroziński. Przyjechały po nas wozy. Wszystkie rzeczy położyliśmy na furach. A pośród tych, którzy wyszli do „Metanu” był policjant żydowski Meir Zaleberg z Opoczna i jego żona Sara. Już po drodze zaczął kombinować. Poszedł do Mrozińskiego i powiedział, że wobec Żydów wprowadzić należy silną rękę. Wyznaczono go na strażnika przy pracy. Stał przy pracy z różgą w ręku. Praca była bardzo ciężka. Trzeba było nosić ciężkie kamienie, maszyny. Niemcy i strażnicy poganiali przy pracy. Stosunek robotników polskich do Żydów był zły. W „Metanie” pracowali Polacy z huty szkła w Piotrkowie. Kpili sobie z Żydów mówili, że: – teraz musicie pracować wy, przyjdzie czas na każdego. Z liceum za karę przysłano byłego komendanta policji żydowskie z Klimontowa Izraela Tenenwurcla z żoną i z dzieckiem i inżyniera z żoną. Zrobiono z nich strażników w „Metanie”, przybyło SS i zażądało, byśmy oddali wszystkie rzeczy wartościowe i pieniądze. W tym celu ustawili skrzynki i tam trzeba było wszystko wrzucić. Zarządca „Metanu” był folksdojcz o nazwisku Fritz, był on brutalny. Nocą wchodził do baraku i patrzył, czy wszyscy śpią. Zdarzyło się, że jeden był właśnie na zewnątrz, gdy

wrócił, [Fritz] kazał mu się położyć na ławce i wymierzył mu baty. Także komendant Rapaport, który był strażnikiem, doniósł Niemcom na pewnego chłopca, czapnika, gdyż nie odpowiedział mu odpowiednio szybko. I ten zbił go ciężko.

Komentarz [A.Sz4]: tu nie jestem pewna, czy czapnik to nie jest nazwisko

Kilka dni później, gdy staliśmy w hucie, ukazał się Jurek Wajsman, który dwa razy uciekł z getta w Sandomierzu. Sam przybył do huty, gdyż chciał coś sprzedać i kupić, aby utrzymać swoją matkę, siostrę i brata, którzy ukrywali się u Polaków. Schwytany został przez niemieckiego zarządcę, który powiadomił o nim SS. SS-mani przybyli i nakazali, aby wzięto go do fabryki by tam pracował. Pracował do obiadu. Po obiedzie Niemiec zadzwonił po żandarmerię, że niejaki Wajsman jest w fabryce. Żandarmeria u której był notowany [zapisany] nakazała go zatrzymać. Później uciekł. Polski strażnik Michał Pilot gonił go i złapał. Posadzono go w piwnicy a dwóm żydowskim policjantom, Meierowi Zalbergowi i Jakubowi Broniatowskiemu nakazano, aby pilnowali go. Błagał ich aby go wypuścili, zemdłał, ale to nie pomogło. Trwało to do nocy. Nocą z Sandomierza przybyli na rowerach dwaj żandarmi- Tugeman i Kraun. Wzięli go, wyprowadzili na pole poza obóz i zastrzelili. W ten sposób płynęło życie w „Metanie: Codziennie szło się do pracy. Wieczorem słyszeliśmy odgłosy z radia, które niosły się z niemieckiego mieszkania. Każdego wieczoru nastawiał audycję, która poświęcona była Żydom. Audycji tej nie przeszkadzał nam słuchać. Słuchaliśmy, kiedy zaczęła się w kwietniu 1943 prowokacja Niemców w sprawie Katynia. Cieszyłem się trochę, gdy udało mi się dorwać kawałek niemieckiej gazety z mową Goeringa, w której mówił, że świat wcale nie wie, jak uzbrojona jest Rosja, że w Rosji istnieją miasta, których nie ma na mapie, gdzie pracuje się nad uzbrojeniem, że są miasta, w których wypróbowuje się broń, że Rosjanie przegrali wojnę z Finlandią i używali [przy tym] starej broni, aby oszukać świat, że nie mają broni. Żadnych specjalnych nowości tam nie było.

Byliśmy w „Metanie” 6 tygodni. Na krótko przed likwidacją obozu tych, którzy więci zostali z liceum, Tenenwurcla z żoną i dzieckiem i innych, odesłano do liceum. Inżynier z żoną uciekł z „Metanu” w polską Wielkanoc.

15-go maja 1943 byliśmy w „Metanie” ostatni dzień. Był to okropny dzień, najokropniejszy dzień w moim życiu.

Rano, od razu gdy jeszcze leżeliśmy na posłaniach wszedł SS-man i powiedział, że za 10 minut wszyscy mają być ubrani. Wszyscy byli śmiertelnie przestraszeni. Najbardziej ze

wszystkich doktor Kaplan. Przechodząc koło mnie powiedział: – Teraz już wszyscy idziemy na zastrzelenie. Było to o wpół do szóstej rano. Wszyscy wyszliśmy na plac, policzono zebranych. Brakowało dwóch: Judla Tajtelbojma i Bajmeka Rajchmana, którzy uciekli. Na zewnątrz stoi już major SS i daje nam rozkaz, żebyśmy z powrotem weszli do baraku i wzięli bagaż ręczny. Każdy bierze, co może. Doktor Kaplan pyta, czy może wziąć swoje przyrządy medyczne, ale mu nie zezwalają. Ustawia się nas w dwójkach. Szofer SS Grot daje nam rozkaz, żebyśmy szli i mówi: – Teraz idziecie do domu Jerozolimy (na tamten świat). Prowadzą nas. Każdy zastanawia się, co robić. Nikt jednak nie ucieka. Przybywamy do Sandomierza.

Ostateczna Likwidacja getta sandomierskiego

Wprowadzają nas do getta. Major dojeżdża taksówką do żandarmerii a reszta ludzi SS prowadzi nas do getta. Niedługo potem przyjeżdża major z Lescherem i innymi. W getcie byli jeszcze obecni Żydzi. Byli bardzo wystraszeni, gdy nas ujrzeli. Przy bramie getta stał Żyd, który pilnował. Został usunięty i wystawiono żandarma. Żydzi z getta przynosili nam wodę do pica, gdyż było bardzo gorąco. Jednocześnie trzech Żydów uciekło z getta. Weszli do domu, w którym była piwnica, która prowadziła za getto. Był to Mosze Szwarcman, Harcele Fridman i młody chłopak o imieniu Michał. Godzinę później przywieziono z część Żydów z liceum, pośród nich Izraela Tenenwurcla z żoną i dzieckiem, komendanta sandomierskiej policji z żoną i jeszcze kilku ludzi i matki z małymi dziećmi. Pośród nich znalazła się żona Jurka Hercberga, który był komendantem opatowskiej policji. Rapaport wykradł się z getta. Zrobił to za pozwoleniem lejtnanta Dolmayera. Więcej nie przybył już do getta. Tymczasem przybył major SS i spośród ludzi z getta wybrał sobie stolarza, malarza, kilku krawców swojego ulubionego donosiciela Szymona Bojma z żoną i odesłał ich do liceum. Reszta wysłana zostanie do Pionek, miasteczka 20 km od Radomia, gdzie znajduje się fabryka proszku. Kiedy przybyli strażnicy z Pionek, którzy mieli nas odprowadzić do obozu, zaczęli przebierać w ludziach. Po jednej stronie ustawili zdolnych do pracy, na drugiej niezdolnych do pracy, którzy poszli na rozstrzelanie. Małutkie dzieci zaczęto wrywać z rąk matek. Czteroletnie dziecko pani Trober, z kręconymi blond włoskami wrywało się do matki i krzyczało – Mamusi, ja bez ciebie żyć nie będę mogła! (Napisane po polsku). Dziecko to nie płakało, jedynie krzyczało w ten sposób, aż niebo złorzeczyło, ale żandarm wyrwał je. Był to mały Adaś Hercberg. Dziecko to było bardzo piękne, jeszcze nie umiało mówić, przyczepiło się do nóg matki. Ona błagała majora, aby zostawił jej dziecko. Powiedział, że może iść razem z dzieckiem. Koniec końców żandarm wyrwał jej dziecko. To samo stało się z

dzieckiem Tenenwurcla, komendanta klimontowskiej policji, z córeczką niejakiego Krakowskiego.

Pośród sandomierskich mieszkało małżeństwo z dzieckiem, z chłopcem. Małżeństwo było przechrzczone, tylko z powodu donosu przyprowadzono ich do getta. Matka błagała: – Moje dziecko nie jest przecież Żydem! Ale to nie pomogło. Dziecko jej ustawiono z tymi, którzy mieli być zastrzeleni. Żonę komendanta żydowskiej policji Rapaporta ustawiono do rozstrzelania, chociaż była jeszcze młoda. Błagała, że jest jeszcze młoda, że może jeszcze pracować, że pracowała w kuchni w liceum. Podszedł żandarm i dał jej takiego kopa, że myślała, że nadszedł już jej koniec. Nie zrezygnowała, wskazała na swoje zęby, że ma jeszcze wszystkie i ten argument zadziałał i przeznaczono ją do życia [pozostawiono przy życiu]. (Żyje i przebywa w Łodzi). Został chłopiec w wieku 7-8 lat. Nazywał się Moniek Wajsbrot. Chciał się sam ratować, powiedział nam, że stanie za naszymi plecami, i wmieszany między nas wkradnie się na samochód. Gdy nas wyprowadzano strażnik zauważył go i wyciągnął go z naszego szeregu. Dziecko błagało, krzyczało, że może pracować, ale zaciągnęli go do domu w którym znajdowali się starsi ludzie i dzieci skazani na śmierć. Zaczął się bronić, krzyczeć, ale złapali go i wrzucili do domu przez okno. My odjechaliśmy, oni pozostali. Pośród tych, których wieziono do liceum był starszy człowiek Lejbele Kogut. Podczas rewizji znaleziono u niego butelkę bimbru. Gdy go pytali, co to jest, odpowiedział, że to jest ocet. Po tym go zastrzelili. W liceum przebywał tata jasnowłosej dziewczynki Fiszl Traube. Podszedł do Grota, szofera SS i zaproponował, że da mu 200 dolarów, za wydanie dziecka. SS-man zażądał pieniędzy wcześniej. Tak długo spierali się, aż szofer zastrzelił go. W tym czasie, podczas gdy my jechaliśmy autami, dręczyło nas sumienie, dlaczego tak długo czekaliśmy i nie uciekliśmy z „Metanu”. Z każdym kilometrem, który ujechaliśmy, coraz bardziej przepełniony byłem rozpaczą widząc, że szanse na ucieczkę były coraz mniejsze. Przepadło. Na każdym samochodzie siedzą strażnicy, uzbrojeni i nie ma mowy o ucieczce po drodze. Jedziemy tak prze Ostrowiec, Szydłowiec, widzimy żydowskie getta które wyglądają dokładnie tak, jak kolejne trzęsienie ziemi. Zburzone domy z powyrywanymi witrażami okien. Domy wyglądają jak szkielety. Podróż trwa do około 9-10 godziny w nocy. Przybywamy na obszar leśny. Zbliżamy się do obozu, na teren fabryki proszku. Przybywamy do Pionek.

Pionki. Okrąg radomski, praca w fabryce prochu [proszku]

Przychodzimy do budynku, w którym przeprowadzona została rewizja. Wprowadza się nas do środka po kilku ludzi razem. Nakazuje się nam, abyśmy wszystko oddali. Rozbiera się nas i przeszukuje. Żądają abyśmy oddali pieniądze i biżuterię. Niektórzy oddają część pieniędzy. I tak, ponieważ zostawiono nam nasze rzeczy, mieliśmy możliwość nie oddawania pieniędzy. Niektórzy pokroili chleb i ukryli pieniądze w chlebie, ale złapano ich i pobito okrutnie. Po rewizji zaprowadzono nas do domu i wpakowano do dwóch małych pokoi, kobiety i mężczyzn razem. Było nas ponad 100 ludzi. Przez całą noc przychodzili strażnicy i rabowali nasze rzeczy. Była pośród nas dziewczyna z Wiednia, Berta Rencer [Render]. Strażnik chciał od niej zabrać sweter i piękną torebkę, a gdy nie chciała tego oddać, zbił ją mocno i krzyknął po polsku (strażnicy byli Ukraińcami): – Przez was wojna, przez was cierpimy (napisane po polsku) i odebrał jej wszystko. Tak męczyliśmy się aż do rana. Rano zapędzono nas do łaźni, a tam zaczęło się nowe piekło. Zarządcą łaźni był strażnik Janczak. Odebrał wszystko to, co u kogoś zostało po wczorajszej rewizji. Po kąpieli zaprowadzono nas do obozu. Stamtąd żydowski policjant zaprowadził nas do folwarku obozu po słomę do sienników. Przydzielono nam ciemny, zimny barak, z podłogą z betonu. Warunki higieniczne były straszne, panował wielki brud. Następnego dnia wzięto nas- nowo przybyłych- do zarządu fabryki. Ustawiono nas i porozdzielano do różnych prac. Część [dołączyła] do ślusarzy, część do kotłowni itd. Mnie i mojego brata wybrano do najtrudniejszej pracy. Musieliśmy pracować przy walcowaniu. Zaprowadzono nas do kantoru, wpisano i następnego dnia musieliśmy udać się do pracy. Cierpieliśmy głód. Czasem dawano nam 20 deko chleba dziennie, a czasami nawet tego nie. Zupy nie dało się jeść, gdyż oprócz tego, że Niemcy dawali mało, to żydowska rada obozu jeszcze z tego kradła. Byliśmy terroryzowani przez polskich przodowników (vorarbeiterów). Trzeba było wyrobić normę 18 pasaży (części). Jeżeli nie wyrobiło się normy, trzeba było pozostać na jeszcze 8 godzin. I tak zdarzało się, że ludzie musieli stać przy pracy za karę za nie wyrobienie normy 32 godziny. Praca ta była bardzo niebezpieczna. Dochodziło do wybuchu prochu i było wielu, którzy byli poparzeni. Miałem trochę pieniędzy i kupowałem sobie i bratu, ale pieniędzy nie starczyło na długo, gdyż ceny w obozie były potrójne. I tak kilogram chleba w obozie kosztował 25 złotych, podczas gdy na wolności kosztował 8 złotych. Przodownicy dawali nowoprzybyłym taką pracę, aby nie mogli wyrobić normy i w ten sposób wyłudzały od nich pieniądze. Położenie w obozie było nie do zniesienia, z powodu codziennych kradzieży. Po kilku tygodniach na skutek tych kradzieży zostałem bez żadnej koszuli. Jeżeli miałem kawałek chleba, nie miałem go gdzie ukryć. Znajdowano nawet pod siennikiem. Pewnego razu miał miejsce wypadek, że zostawiłem kawałek chleba u pewnego [człowieka], w zamkniętej skrzynce, ktoś ukradł skrzynkę i nie miałem chleba na

rano. Tak dochodziło do małych tragedii, gdyż jeden ukradł drugiemu ostatnią rzecz. Raz miał miejsce przypadek, że upadłem w walcowni z głodu. Wtedy postanowiłem, że ucieknę. Tylko że ucieczka z obozu nie była taka prosta, gdyż obóz znajdował się w lesie i otoczony był różnymi drutami. Zobaczyłem jednak, że nie dam rady żyć w obozie i postanowiłem znaleźć jakiś sposób. Zrozumiałem, że jeżeli nie będziemy ratować się sami, zginieemy, gdyż Hitler przeznaczył Żydów na zagładę. Będąc w obozie około 4 tygodni, postanowiłem wraz z moim bratem i jeszcze 4 Żydami sandomierskimi uciec. 15 czerwca 1943 po pracy zdjęliśmy opaski i wmieszaliśmy się do Polaków. Postanowiliśmy, że nie będziemy szli przez cały czas z Polakami, gdyż przy bramie stał strażnik, który kontrolował ich arbeitszajny [papiery do pracy]. Postanowiliśmy tylko wyjść z nimi z miejsca, gdzie znajdują się Żydzi, zniknąć w lesie, udać się do drutów a stamtąd uciec. W lesie wyrosło nagle przed nami dwóch Polaków. Jeden starszy, i młodszy w wieku lat 13. Powiedział do nas: „Serwus chłopcy” [po polsku] I pyta dalej. „Jesteście z getta” (Polacy mówili na nasz obóz getto.). Rozumie się, że wypieranie się nie miało żadnego sensu, gdyż Żydzi nie mieli prawa poruszać się sami poza obozem. Aby pozyskać go zaproponowaliśmy mu, żeby przeprowadził nas za wynagrodzeniem. Zażądał 3000 zł. Było nas 5 ludzi. [Powiedział, że] jeżeli nie zgodzimy się na jego pomoc, pokaże nam gdzie najłatwiej przejść przez druty i za to nie chciał od nas nic. Wtedy trzech Żydzi, którzy byli z nami, odwrócili się od nas, przedostali się przez druty i uciekli. Zostaliśmy sami z Polakami. Widząc to także my podeszliśmy zaraz do drutów i zaczęliśmy się na nie wdrapywać. Będąc już na drutach zobaczyłem z daleka światło latarki, ktoś podbiegł do drutów. Jednocześnie usłyszałem wystrzał, potem jeszcze 4 strzały. Z powrotem zeskoczyłem z drutów.

Nie mając innego wyjścia musieliśmy wrócić. Zależliśmy się z bratem w kłopotliwym położeniu. Do obozu wracać baliśmy się, gdyż będą się nas pytać, gdzie byliśmy i pociągną nas do odpowiedzialności za zniknięcie 3 Żydów. Baliśmy się uciekać przez druty, ze względu na strzelaninę. Postanowiliśmy nie wracać do obozu, tylko iść do fabryki. Znajdowała się ona około 3 km od drutów. Gdyby spotkał nas ktoś po drodze, groziłaby nam także śmierć. Ale nie ma innego wyjścia. Idziemy do portierni. Stoją tam dwaj strażnicy i pytają nas skąd przychodzimy. Mój brat, jako wymówkę powiedział, że wszedł do lasu się załatwić, w tym czasie grupa poszła do obozu i on musiał zostać. Strażnik nie wziął na poważnie tej wymówki, lecz ponieważ nie był srogi, wymierzył nam tylko karę, nie mogliśmy wrócić do obozu, ale całą noc musieliśmy przespać na trawie. Jak się okazało później, jeden z tych którzy uciekli, Herszl Szperlak, przybył do liceum w Sandomierzu, gdzie kręcił się

nielegalnie. Pozostali dwaj, Nusek Rajchman i Herszl Rajchman [Nusek Rajchman i Herszt Kogut], pod Sandomierzem wpadli w ręce polskich policjantów, którzy go zabili. Minęły dwa tygodnie, ponownie zacząłem myśleć o zorganizowaniu ucieczki. Część Żydów z obozu pracowała poza obozem, chcieliśmy porozumieć się z przodownikiem tej grupy, aby wziął nas do tej pracy, ale w ostatniej chwili Polak odwołał umowę. Zwróciłem się do Polaka, który pracował razem ze mną przy walcach, aby przeprowadził nas przez druty. Zgodził się zrobić to za 1000 złotych. Ale następnego dnia rezygnuje, gdyż boi się. Pozostało jedyne wyjście: spróbować samemu, bez niczyjej pomocy. Problem z ucieczką był coraz trudniejszy. Niemcy i Ukraińcy podjęli środki masowe. Wacha została wzmocniona. Gdy Żydzi wychodzili przez portiernię (wachposte) zbierano ich w jednym miejscu i nie pozwolono im ruszać się z miejsca.

Uciekinierzy rekrutowali się przede wszystkich spośród tych, którzy pracowali przy walcach. Policja żydowska podjęła ostre środki. Gdy szło się do pracy z obozu do fabryki, stali policjanci i kontrolowali każdego, czy nie jest ubrany bardziej niż trzeba. Ludzie uciekali nie zwracając na to uwagi. Zdarzyło się, że uciekło 5 Żydów, rozpoznał ich Polak, który pracował w fabryce. Zameldował o tym polskiemu policjantowi, który przekazał ich strażnikom w fabryce a ci przed zastrzeleniem torturowali ich, połamali im ręce i nogi. Tylko jednego z nich, 13-letniego chłopca, nie zastrzelono. Położono go na ławce i wychłostano. Następnego dnia, po mordzie, gdy zaprowadzono nas do pracy, nakazano nam czekać. Przyniesiono ubranie zastrzelonych i żydowski dowódca obozu, Mosze Bronsztajn, wygłosił nam następujące kazanie: – Zobaczcie, kto będzie ważył się uciec, tak skończy” Postanowiłem jednak nie zwracać na to uwagi i uciec. Kilka dni przed ucieczką, leżąc na pryczy, po nocnej zmianie, usłyszałem jak do naszego baraku wchodzi dr Kaplan z Klimontowa i mówi, że doktor Brandt, strażnik [Werkschutz], wydał rozporządzenie, że kto ucieknie, nie zostanie zastrzelony, ale się go powiesi. Powieszeni będą wisieć 3 dni w obozie. Ale nie zwracałem na to uwagi. Razem z bratem i jeszcze 3 mężczyznami uciekniemy o 11 w nocy. I udało się nam. Z tych pięciu jednego zabili w Sandomierzu, pozostali dwaj także nie żyją. Pozostałem z bratem. Przed ucieczką wziąłem plan okolicy od jednego, który znał tutejsze wsie. Był ze Zwolenia. Nie chcieliśmy przechodzić przez miasta, szczególnie przez Radom. Ta okolica była niebezpieczna, gdyż mieszkali tam folksdojce. Uszedłszy kilka godzin wyszliśmy na łąkę. Podeszliśmy do pierwszej chatki. Jednego z nas, który wyglądał jak chrześcijanin i mówił dobrze po polsku, wysłaliśmy, aby zapytał o drogę do Zwolenia. Był wielkim tchórzem i wrócił z wymówką, że śpią i nie chcą mu odpowiedzieć. I zaczęliśmy dalej iść

przez mokrą łąkę. Droga doprowadziła nas do linii kolejowej. Przy linii stała biała chatka. Znow wysłaliśmy tego samego. Znow wrócił z wymówką, że jest tam pies. Okazało się, że nie ma psa. Obudziłem gospodarza i zapytałem o drogę na Zwolen. Ten zwrócił nam uwagę na to, że nie możemy iść obok linii kolejowej. My jednak błędziliśmy i zamiast iść prosto zobaczyliśmy światła na stacji kolejowej w Pionkach i zaczęliśmy wracać. W ten sposób błędziliśmy całą noc aż zaczęło dzień. Właśnie doszliśmy do wsi. Szybko minęliśmy wieś i weszliśmy na pole zboża blisko wsi. I wszyscy pięciu położyliśmy się w zbożu. Wielu ludzi przejeżdżało obok nas. Koło zboża było proso. W to proso w porze obiadowej wjechała[?] kobieta z chłopakiem. Właściciel pola złapał ich, narobił krzyku: – Będziecie już mieli za swoje, wyczołgiwać się stamtąd! [po polsku: Już będziecie mieli dosyć, wyłaźta stamtąd] Myśleliśmy, że ma na myśli nas, ale szybko zorientowaliśmy się, gdyż gojka zaczęła płakać i prosić: – Panie Brodowski, daruj pan!” W ten sposób przeleźliśmy cały dzień. Gdy się ściemniło wyszliśmy i poszliśmy dalej.

Po drodze zapytaliśmy chłopą, jak jest daleko od Pionek, odpowiedział, że 6 km, a kiedy zapytaliśmy go, czy idziemy dobrze, powiedział, że idziemy w kierunku Pionek (zorientował się, że jesteśmy Żydami). Zapytaliśmy go, czy ma chleb, ale nie miał nic. Wy tłumaczył nam jak mamy iść. Pożegnaliśmy się z nim i odeszliśmy. Przeszliśmy przez wieś i doszliśmy do lasu. Na brzegu lasu spostrzegliśmy sylwetki dwojga ludzi. Zbliżyliśmy się do nich, okazuje się, że to chłop i chłopka z tej wsi, którzy wracają ze żniw. Dalej poszliśmy razem, wtedy Żyd z Sandomierza, który wyglądał jak Polak, znikł. Później po wyzwoleniu dowiedzieliśmy się, że był on w Sandomierzu, a tam zamordowali go Polacy. Z chłopami przeszliśmy kawałek drogi, potem wytłumaczyli nam, dokąd mamy iść. W ten sposób doszliśmy do wielkiej wsi. Przeszliśmy całą wieś i weszliśmy do chaty do starego chłopą i chłopki. Pytamy ich o drogę do Zwolenia. Prosimy ich, żeby dali nam coś do jedzenia. Stary odpowiada, że nic nie ma. Powiedzieliśmy mu, że zapłacimy. Dał nam chleb z mlekiem i nie chciał wziąć od nas pieniędzy. Dowiedzieliśmy się, że wieś ta nazywa się Męciszów i poszliśmy dalej. Błądzimy kilka godzin po lesie. Zaczynamy wracać, gdyż zorientowaliśmy się, że z lasu nie da się wyjść. Zawracamy i z powrotem dochodzimy do tej samej wsi. Pukamy do chłopą i pytamy o drogę do Zwolenia. Chłop zaczyna tłumaczyć nam jak mamy iść, a gdy prosimy go, żeby pokazał nam taką drogę, abyśmy nie szli przez miasto, mówi na, żebyśmy poszli przez łąkę, koło żydowskiego kirkutu: – Potem – mówi- jest wieś Zielonka, która znajduje się już po drugiej stronie Zwolenia. Idziemy do studni, pijemy wodę i ruszamy w dalszą drogę. Wy tłumaczył nam, że na górze, gdzie rośnie grab, w chatce mieszka pewna wdowa, mamy

zapytać u niej, a ona wskaże nam drogę. Idziemy pod wskazany adres. Doszliśmy do chatki i pytamy o drogę. Ona mówi, że niedaleko jest wieś Jedlanka, a my prosimy ją o coś do jedzenia. Mówi, że nie ma nic. W Jedlance idziemy do chłopca i pytamy go o dalszą drogę. Mówi, że na lewo droga prowadzi do Karszówki, a gdy zegnemy się z nim spostrzegamy obok chatki sad z wiśniami, pytamy, czy można zerwać trochę wiśni. Odpowiada: „Proszę bardzo” [po polsku]. Wziął nas pewnie za partyzantów. Dalej idziemy do Karszówki. Szybko przechodzimy przez wieś. Jest to ostatnia wieś przed Zwoleniem. Dalej nie możemy iść, bo jest już dzień. Wchodzimy w pole zboża i kładziemy się. Leżymy tak póki jest dzień. Zaczynają przejeżdżać auta. Około 8-ej przychodzi chłop na swoje pole i zaczyna ciąć zboże. A każde cięcie kosą jest dokładnie takim uczuciem, jakby rozcinał mi serce. Ale dzieje się cud. Zaczyna padać i chłopcy zaczynają odchodzić z pól. Tak leżymy do nocy. Nocą znów się podnosimy, i idziemy na pole torfu. Na polu było pełno wody, wpadliśmy do wody, cali przesiąkliśmy wodą. Szliśmy tak aż wyszliśmy z pola torfowego. Wyszliśmy z pola torfowego, idziemy dalej przez pola i nagle, jak spod ziemi, wyrasta przed nami 13-letni chłopak i mówi od razu: – Jesteście z obozu? Był miejscowy (i pokazał nam drogę na Zielonkę i poszliśmy zgodnie z jego wskazówkami. Doszliśmy do pola rzepa. Jedliśmy rzepę aż doszliśmy do wsi. A we wsi żyje się, śmieje się, toczy się rozmowy. Mój brat wchodzi i pyta, jak idzie się do Zielonki. Pokazują nam drogę. Przychodzimy do Zielonki, a tam pytamy o drogę do Jasieńca. Ja i brat chcieliśmy iść do Goźlic niedaleko Klimontowa, gdzie u chłopca ukrywał się Chil Lederman z Klimontowa. Nasi towarzysze woleli iść do Sandomierza do liceum. Zapytaliśmy chłopca o drogę do Jasieńca. Poprosiliśmy go by dał nam coś do jedzenia. Chłopka przeprosiła nas, że nie może zaprosić nas do domu, gdyż jesteśmy Żydami. Wyniosła nam wielki garnek z mlekiem, i żytni chleb, którego starczyło dla wszystkich. Przy pożegnaniu, gdy pytam ją ile jej się należy mówi, żeby poszło nam na zdrowie, nie chce wziąć żadnych pieniędzy. Bardzo jej podziękowałem i oddaliśmy się. Powiedziała nam, że będziemy jeszcze przechodzić drugą Zielonkę. Przechodzimy drugą Zielonkę a następnie wchodzimy do lasu. Za lasem jest wieś **Bartodzieje [Bardi/Barci]**. Pukamy do chatki, wychodzi stara chłopca, mówi, że mamy iść, daje nam kawałek chleba i idziemy dalej. Dochodzimy do wsi Jasieniec. Znajduje się tam pański dwór. Dochodzimy do chłopskiej chaty, i pytamy chłopca o drogę do Woli Soleckiej. Prosimy go o mleko, odpowiada, że nie ma mleka. Mojemu bratu wyrwało się: „Musi być” [po polsku]. A on przestraszył się myśląc, że jesteśmy partyzantami i dał nam mleko- czysta śmietana. Pytał, czy chcemy jeszcze. Rozumie się, że nie odmówiliśmy. Jego dwudziestokilkuletni syn, powiedział nam, że jest już godzina pierwsza w nocy. Chłop nie wziął żadnych pieniędzy za mleko, a my ruszyliśmy w dalszą

drogę. Doszliśmy do Woli- Soleckiej. We wsiach Wola Solecka, Dziurków, Słuszczyń przyjęto nas dobrze. Nie wiem czemu. Czy dlatego, że sądzili, że jesteśmy partyzantami, czy też dlatego, że rzeczywiście byli dobrzy. Niedaleko Słuszczyzna leżąc w lesie widzieliśmy przejeżdżających lasem 8 partyzantów na koniach. Brat i pozostali spali. Tamci nie zauważyli nas. W ten sposób leżeliśmy w lesie aż do zmroku. Nocą zaczęliśmy iść. Byliśmy niedaleko miasteczka Tarłów. Ze Słuszczyzna poszliśmy do Zemborzyna. Chłop dał nam chleb. Chłop wskazał nam jak ominąć miasto Tarłów. Poszliśmy przez pola. I gdy tak idziemy przez pola spostrzegamy, że doszliśmy do miasteczka. Widzimy kościół. Za miastem stoi młyn na wiatr, mój brat mówi, że powinniśmy wejść do wiatraka, i przesiedzieć dzień. Ale nie chciałem. Postanawiam, że jeszcze dzisiejszej nocy musimy przejść przez miasteczko. Przechodzimy przez tyle uliczki miasta. Przeszliśmy obok szop, i dochodzimy do placu za miastem. Tam znajdowała się miejska studnia, a obok studni tablica po niemiecku: Tarłów, dystrykt Radom, do Ożarowa 14 km. Idziemy dalej na szosę Tarłów-Ożarów. Psy szczekają, idziemy bardzo szybko. Niosły nas nerwy. Przeszliśmy przez miasto i idziemy dalej. Droga wiedzie przez las po obu stronach szosy. W ten sposób przeszliśmy 5-6 km za Tarłów i weszliśmy do lasu. Tam przeleżeliśmy cały dzień, nocą poszliśmy dalej. Doszliśmy do wsi. Zapytaliśmy o drogę do Ożarowa. Nie dano nam chleba. I kiedy tak szliśmy, zaczęło grzmieć i błyskać. Zaczęło padać. Nie widzieliśmy nic, przemokliśmy. Tylko błyskawice oświeślały nam drogę. W ten sposób doszliśmy 2 km od Ożarowa. Doszliśmy do chaty, zapukaliśmy, mieszkała tam wdowa. Kupiliśmy u niej mleko, jajka, zapytaliśmy, w jaki sposób mamy ominąć Ożarów. Wy tłumaczyła nam, w jaki sposób mamy iść przez pola i ominąć miasto. Doszliśmy do wsi Grochocice. Weszliśmy do chłopca. Dał nam chleb z mlekiem i wyjaśnił, jak powinniśmy iść. Doszliśmy do wsi Pielaszów. Miałem tam znajomego z naszych okolic, który ożenił się w tej wsi. Poszliśmy do niego i poprosiliśmy aby wpuścił nas na dzień. Powiedział, że to niemożliwe, gdyż jest sołtysem wsi i mieszka razem ze swoimi szwagrami. Z tego powodu poszliśmy do lasu aby przetrwać tam dzień. Ale w Ożarowie dwaj nasi towarzysze oddzielili się od nas, i oddalili się do Sandomierza. Do lasu przyszły dziewczyny (siksy) zbierać pieczarki. Przeszły koło nas, ale cudem nas nie zauważyły. Leżymy aż do nocy a później zaczynamy iść. Dochodzimy do Międzygórza- Skala, gdzie pracowałem wcześniej. Przybyliśmy na początku wieczora. Przeszliśmy przez wieś. Przechodzę obok domu, gdzie zwykle wchodzi, gdzie mieszkali Żydzi. Nachodzą mnie czarne myśli. Wchodzimy do wsi Gołębiów, tam wchodzi do chaty, i pytam o mieszkanie jednego z moich znajomych. Proszę o trochę jedzenia. Odmawia nam. W okręgu sandomierskim nasze położenie pogarsza się, chłopci nie chcieli dać nawet trochę wody. Wychodząc ze wsi słyszymy śpiew pijaków.

Komentarz [A.Sz5]: jest tam rzeczywiście mały Tarłów i Ożarów oddalone od siebie około 20 km.

Położyliśmy się w zbożu i gdy zrobiło się cicho wyszliśmy na główny trakt, który prowadzi do Klimontowa. Niedługo potem doszliśmy do Goźlic. Tam poszliśmy do chłopca, u którego ukrywał się nasz znajomy. Zapukaliśmy, chłop nie odpowiadał chętnie. Pytam o tego Żyda. Mówi, że tamten odszedł, ponieważ poprzedniej nocy we wsi była żandarmeria i aresztowała dwóch bandytów, Żyd ten wystraszył się i odszedł. Okazało się, że chłop nas oszukał, Żyd był u niego i prosił, aby nikomu nie mówił, że jest u niego. Chłop dał nam chleb i mleko, poprosiliśmy go, aby pozwolił nam przenocować, ale nie chciał, odeszliśmy dalej.

Poszliśmy do drugiego chłopca z tej wsi. Także on opowiada nam historię z żandarmerią i nie chce nas wpuścić do siebie nawet na jeden dzień. Zmuszeni jesteśmy iść na cały dzień w pole. W ciągu dnia przeżywamy śmiertelny strach, gdyż koszą zboże dokładnie tam, gdzie siedzimy. Nocą znów idziemy do chłopca, u którego był [schowany] ten człowiek [Żyd]. Chłop daje nam mydło, maszynkę do golenia i golimy się na ulicy [na zewnątrz].

Rano idziemy na pole i cały dzień leżymy w zbożu. Trzeciej nocy chłop nie wpuszcza nas mówiąc, że przyjechała do niego siostra. Opuszczamy wieś i idziemy dalej. Dochodzimy do następnej wsi i idziemy do naszego dobrego znajomego. Wchodzimy do niego do domu. Porównuję jego położenie z naszym. Oni śpią w łóżkach a nas przepędza się jak psa. Chłop ten jest bogaty, ale nie uważa za konieczne dać nam trochę mleka. Daje nam coś do jedzenia, ale nie pozwala nam spędzić u siebie dnia. Idziemy do innego chłopca w innej wsi. Ten chłop obiecał kiedyś mojemu bratu, że przechowa go u siebie. Wieś w której mieszka ten chłop oddalona jest 2 km od Klimontowa. Przyszliśmy do niego nocą. Odzywa się jego żona „kto jest? [po polsku]. Odpowiadamy: „Krawiec z Klimontowa” [po polsku]. Mówi nam, że męża nie ma w domu, ona nie otworzy. Gojka zaczyna płakać, mówi, że jej mąż nie zna żadnych Żydów, nie otworzy. Powodem tego przyjęcia był [fakt], że w jej sąsiedztwie u innego chłopca ukrywało się małżeństwo, które w bunkrze w lesie pozostawiło swoje dzieci. Chłop dostał od nich wielki majątek: metr pieprzu, bawełnę i inne towary. Ale on chciał się ich pozbyć i podpalił stodołę w której przebywali, także musieli uciekać. Para znalazła się w tak złym położeniu, że sami zgłosili się na policję. Było to dokładnie w dniu likwidacji sandomierskiego getta, 15-go maja 1943. Tego samego wieczoru partyzanci napadli na posterunek polskiej policji, gdzie siedziało to małżeństwo. Chcieli stamtąd zabrać broń. Policja prosiła ich, aby tego nie robili, motywując to tym, że mają rozkaz zabijać Żydów. Partyzanci odpowiedzieli, że sami poradzą sobie z Żydami. Weszli do nich do celi i ich zastrzelili. Dlatego chłop, do którego się udaliśmy, bał się mieć do czynienia z Żydami. O tym

dowiedzieliśmy się później. Zanim para ta oddała się w ręce policji, napisali list do swoich dzieci (sądziło, że dzieci uratowały się w liceum). W liście usprawiedliwiali się przed dziećmi pisząc, że zrobili wszystko co w ich mocy, by przeżyć, ale to się im nie udało. O tym liście już po wyzwoleniu odpowiadał mi pewien Lederman, który był w liceum. Zamordowany został on później przez polskich bandytów 16-go kwietnia 1945. Udaliśmy się dalej w poszukiwaniu szczęścia, doszliśmy do drugiej wsi w której mieliśmy znajomego. Ale on zaczął krzyczeć: – Uciekać, już, bo może przyjdzie policja! Jego żona podała nam przez lufcik kawałek chleba. Od dwóch tygodni byliśmy w drodze. Przechodzimy przez pole z okrągłym grochem. Zrywamy groch i bierzemy go. Wychodzimy na drogę, przechodzimy obok chaty, do której nas potem wpuszczono i gdzie doczekaliśmy wyzwolenia. Omijamy tę chatę i idziemy dalej. Dochodzimy do dworskiego pola jęczmieniu. Był gorący dzień. Leżeliśmy równo wyciągnięci i nie ruszaliśmy się z miejsca.

Nocą idziemy do kolejnej wsi Nasławice, mieszkał w niej znajomy chłop, który obiecał mi kiedyś, że jeśli jego żona się zgodzi, przechowa nas. Wieś była nam nieznana. Pytamy o tego chłopca. Przechodzimy obok zniszczonych domów bez drzwi i okien, orientujemy się, że tam mieszkali Żydzi. Dochodzimy do chłopca, pukamy do niego. Pyta kto tam. Mówi nam abyśmy poczekali, idzie nam otworzyć. Czekamy na zewnątrz, stoimy długo, ponownie pukamy. Widocznie zasnął, wreszcie nam otwiera. Prosimy go, aby nas ukrył, że nie chcemy za darmo. Gdy dowiedział się, że pytaliśmy na niego na wsi, mówi nam, że boi się teraz nas przechować. Wtedy umówiliśmy się z nim, że na dzień odejdziemy i jeżeli podczas dnia nikt o nas nie będzie pytał, przyjdziemy do niego nocą. Sprzedał nam surowe jaja i chleb. Ale na dzień nie chciał nam sprzedać chleba. Wyszliśmy na pole pszenicy, tak przeleżeliśmy cały dzień, nocą poszliśmy z powrotem. Dano nam jedzenie. Mieliśmy nadzieję, że przy jego pomocy będziemy mogli odzyskać towar, który ukryty mieliśmy u Polaka. Obiecał nam, że zrobi dla nas schron pod ziemią. Zaprowadził nas, abyśmy spali w stodole. Była to pierwsza noc od ucieczki z obozu, kiedy zasnęliśmy po ludzku. Jedzenia dano nam tam bardzo mało. Nie traktowano nas po ludzku. Tak jakby nie rozumieli, że żyjący człowiek musi się załatwić, nie stworzyli nam ku temu żadnych możliwości. Następnego dnia wszedł do nas do stodoły nasz gospodarz i zapytał, kiedy pójdziemy po towar. I tak, ponieważ nie znałem ceny towaru, powiedziałem mu, że przyniosę mu 10 metrów materiału na garnitur, oszacowałem to na wartość 2000 zł. To było jednak warte 4000 zł. Domagał się, żebyśmy przynieśli już materiał, a poza tym, mamy przynieść mu materiał na dobry garnitur. Ociągałem się jednak z pójściem, gdyż chciałem odpocząć. I postanowiłem sobie, że więcej do niego już nie wrócę.

W piątek nocą powiedzieliśmy, że idziemy po materiał. Żegnamy się z nim. Na zewnątrz pada, ponownie szukamy innego miejsca. Mieliśmy znajomego chłopca, w Postronnej, ciągnęło nas do niego. Idziemy do tego chłopca. Wchodzimy do wsi, pytamy o niego. Błądzimy, ta wieś jest duża. Zanim dowiadujemy się, już jest dzień. Pukamy do chaty. Jego żona mówi, że nie ma go w domu. Przypominamy jej, kim jesteśmy, ale nic to nie pomaga. Wykręca się wymówką, że ponieważ męża nie ma w domu, boi się nas wpuścić. Widzimy, że nic się nie da zrobić. Idziemy w inne miejsce. Chłopka wskazuje nam gdzie tamten mieszka. Wieś powoli zaczyna się budzić, a dokoła wsi nie rośnie żadne zboże. Nie mieliśmy się gdzie schronić. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie mieszka ten drugi chłop, zawróciłem więc i poszedłem do pierwszej chłopki, aby jeszcze raz zapytać. Wtedy widzę, jak chłopka wychodzi z chaty. Zdaje się, że mąż wysłał ją, aby nas przyprowadziła. Był dobrym kupcem, miał wciąż kontakt z Żydami w liceum, i wyraźnie doszedł do wniosku, że nie opłaca mu się, aby tamci Żydzi dowiedzieli się, jak nas potraktował. Wchodzimy do kuchni, kobieta daje nam mleko i chleb. On wychodzi do nas, ucieszył się z nas. Zgadza się abyśmy pozostali u niego na dzień. Wyprowadza nas na strych z sianem, daje nam koc do przykrycia. Podczas dnia karmi nas lepiej niż w pensjonacie. Nocą mówimy, że nie chcemy wychodzić w sobotnią noc, aby nie być w niedzielę w drodze. Pozwala nam pozostać jeszcze dzień u siebie. Dają nam bardzo dobre jedzenie. Opowiada nam, że chłopci przekazali mu, że dwóch mężczyzn pytało o niego. Gdy proponujemy mu, aby nas przechował odpowiada, że nie może tego zrobić, gdyż przybywa żandarmeria po kontyngent. Pytamy jego żonę, ile należy się jej za dwa dni. Odpowiada, że 150 zł. Jedzenie, które nam dali, było więcej warte niż 150 zł. [Chłop] daje nam jeszcze kawałek chleba na drogę i odchodzimy. Mieliśmy znajomego Polaka w Wiązownicy, Edwarda Ratkowskiego, który przychodził do nas do getta i obiecał nam, że nam pomoże. Szczególnie że wiedzieliśmy, że w tej wsi ukryło się kilka rodzin żydowskich. Poszliśmy tam, po drodze wstąpiliśmy do wsi, gdzie mieszkała znajoma rodzina chłopska. Pukamy, wychodzi chłopka i gdy nas spostrzega, zaczyna krzyczeć przestraszona: „Idźcie, idźcie!”. Nie pozwoliła nam przystanąć nawet minuty w miejscu i odeszliśmy. Do Wiązownicy było daleko. Spostrzegliśmy, że nie zdążymy dojść do wsi przez noc. Postanowiliśmy wejść do lasu, być tam podczas dnia i dopiero następnej nocy tam iść. Tak też zrobiliśmy. Nocą idziemy dalej. We wsi przed Wiązownicą, zapukaliśmy do chłopca, aby dał nam jedzenie. Dał nam chleb, nie chciał wziąć żadnych pieniędzy. Poszliśmy dalej, przez drugą wieś. Ktoś nas spostrzegł i poszczuto nas psem.

W kryjówce u chłopca

Wreszcie doszliśmy do Wiązownicy. Postanowiliśmy nie pytać się o chłopca, tylko pytać o polską nauczycielkę, która u niego mieszkała. Pukamy do chaty, jego matka mówi nam, że syna nie ma w domu. Prosimy ją, aby dała nam kawałek chleba, odpowiada, że nie ma. Wtedy wychodzą jej dwaj synowie, którzy spali w stodole. Trzymają w rękach dwa kije. Gdy tylko nas dojrżeli, podali nam ręce, kazali nam położyć się na strychu. Rano długo czekamy na jedzenie. Wreszcie przychodzi chłopak. Przynosi nam kawałek chleba i dwa jajka, nie są ugotowane, gdyż matka ich nie chciała dać dla nas jedzenia. Sądziła, że chcemy za darmo. Daliśmy chłopakowi 500 zł i to pomogło, tylko że jedzenie było niedobre i chude, choć mogli dać nam lepsze jedzenie. Następnego dnia poprosiłem go na strych i zapytałem ile chciałby za miesiąc ukrycia. Zażądał 4000 zł za miesiąc. W tamtych czasach była to duża cyfra. Źródła [z których brałem pieniądze] były następujące: u kilku Polaków mieliśmy schowane materiały krawieckie. Jeden z nich był przed wojną starostą w powiecie sandomierskim. Drugi był prokuratorem w sądzie radomskim, trzeci był sekretarzem w sądzie radomskim, czwarty był felczerem w Klimontowie. Kilka dni przed wysiedleniem umówiliśmy się ze starostą Henrykiem Henochem, aby przyszedł do nas i wziął nasz towar. Przyszedł w towarzystwie chłopca. Zapakowałem mu worek tkaninami. Mógł ważyć 80 kg. W poniedziałek rano był u nas, opowiedział, że od wojny ma w Klimontowie sklep, który przekazał mu Żyd. Wyliczyłem mu wartość tego, co było w worku. Prosiłem go, gdyby wysłano nas do obozu posyłał nam chleb, jeżeli będziemy w potrzebie, napiszemy mu. Ale gdyby się dowiedział, że nie żyjemy, niech towar odda na jakiś cel antyfaszystowski. Powiedział: „dobrze” [po polsku]. W jego „dobrze” [po polsku] wyczułem zimny ton, ale nie dopuściłem do siebie żadnych wątpliwości, gdyż przed wojną był on popularny wśród Żydów. Teraz napisałem do niego list i prosiłem, aby przez chłopaka przesłał 2000 zł. Jednak poinformował przez chłopaka, że nie ma teraz pieniędzy i żeby przyjechał później. Jednocześnie wypytał chłopaka, gdzie jesteśmy, chłopak powiedział mu, że jesteśmy w liceum. Później dał mu te 2 tys. złotych.

Spytałem Ratkowskiego o znajomych Żydów Matisa i Joela Fajnkuchen, którzy przebywali w tej wsi. Powiedział, że mają się bardzo źle, płaczą się boso, obdarci, nie mają z czego żyć i kręcą się pośród Polaków. Kiedy pytam o Sarę Rozenberg, odpowiada, że Sara Rozenberg z dwoma innymi dziewczynami była przez pewien czas u niego, ale nie miały pieniędzy. Wiosną, z jakimiś chłopcami, poszły do lasu. Nadleśniczy zobaczył ich w lesie i zawiadomił żandarmerię. Żandarmeria otoczyła las i troje zostało zastrzelonych, pośród nich Sara

Rozenberg, 20-letnia dziewczyna. Troje uciekło. Zastanawiałem się, czy nie ma on w tym udziału, gdyż Rozenberg mieszkała u niego. Dlatego mówię mu, że muszę zobaczyć się z braćmi Matisem i Joelem Fajnkuchen. Mija jeden dzień i drugi a on nie przyprowadza mi tych dwóch ludzi. Aż nadchodzi sobota 14 sierpnia 1943, jestem jeszcze ciągle zaniepokojony z tego samego powodu. Około 10 rano słyszę, jak matka krzyczy: – Edek, Zygmunt! W jej głosie wyczuwam zdenerwowanie. Biega po domu, zrozumiałem, że coś się stało. Kilka minut później na strych wbiega Zygmunt, i krzyczy: – Ubierajcie się szybko, we wsi jest żandarmeria! Zażądał abyśmy wyszli od niego i powiedział, że mamy iść na cmentarz. Proszę go, aby nas nie wyrzucał, jeżeli teraz wyjdziemy, będziemy straceni, gdyż jest dzień i złapią nas od razu. Ale to nie pomaga. Wyczołgujemy się przez dach i uciekamy na cmentarz. Drugi chłopak poszedł na cmentarz zobaczyć, czy jesteśmy dobrze ukryci. Postanowiliśmy ukryć się w dwóch osobnych miejscach. Leżymy cały dzień, każda minuta wydaje się być rokiem, o 11 w nocy [Zygmunt] przychodzi na cmentarz i prowadzi nas z powrotem na górę. Opowiada, że we wsi była polska policja z [miasteczka] Osiek, która zastrzeliła dwóch Żydów. Matkę zastrzelonej Sary Rozenberg i chłopca ze Staszowa Gerszta. Tego dnia nie dano nam jedzenia. Pół godziny leżymy na strychu, słyszymy strzelaninę. Leżymy cali w strachu. Wchodzi Edek i mówi: – Boita się? [po polsku] Pytam co się stało, odpowiada, że do wsi przybyli partyzanci i tak sobie strzelają. Rano mówię mu ponownie, że chcę zobaczyć się z tymi dwoma Żydami, zgodził się, obiecał nas do nich zabrać. Żądam także od niego, aby zrobił dla nas kryjówkę. Zrobił nam na strychu podwójną ścianę i to była nasza kryjówka. Kilka dni później przyszli dwaj bracia Matis i Joel Fajnkuchen. Wypytałiśmy o Sarę Rozenberg, mówią to samo, co powiedział Ratkowski. Mówią, że Ratkowski jest porządnym człowiekiem. Uspokoiliśmy się. Położenie braci Fajnkuchen było niebezpieczne, byli bez pieniędzy, bez butów, obdarci. Podzieliliśmy się z nimi naszym jedzeniem. Od czasu do czasu przychodzili do nas [i zostawali] od soboty do poniedziałku rano. To ich podtrzymywało, gdyż przez cały tydzień nocowali w lesie. Chociaż bywali u nas, nasz gospodarz nie posyłał więcej jedzenia.

W ten sposób byliśmy tam przez 5 tygodni. W niedzielę 5-go września, gdy siedzieliśmy przy drzwiach na strychu, do chłopaków przyszli koledzy. Jeden doszedł do stajni i usłyszał chrapanie. To spał jeden z braci. Zorientował się, że ktoś śpi na strychu i wdrapał się na górę. Właśnie się goliłem, spoglądam, widzę że jakaś głowa mi się przygląda. Szybko spuścił się na dół, podszedł do Edka i powiedział: –Kogo ty tam masz? Daj wódkę!” (po polsku). Nasz chłopak zagadał go, że pewnie widział Matisa, bo Matis legalnie kręcił się po wsi. Chłopak, Józef Trojanowski, udał, że nic nie wie, ale na podwórku był też dowódca partyzantów,

Daniel Stawacz, którego poszukiwała żandarmeria. Kiedy odeszli, Edek przyszedł do nas i o wszystkim opowiedział. Postanowiliśmy, że wejdziemy do naszej kryjówki, a Edek pójdzie po Józefa Trojanowskiego i pokarze mu, że na strychu był tylko Matias z bratem. Wszedł z nim na strych. Józef pogadał z Matisem, i poszedł z powrotem. Ale ja już nie byłem spokojny. Kiedy Matis z bratem schodził poprosiliśmy go, żeby znalazł nam inne miejsce. Gdyż jedzenie tam było niedobre, nie było słomy na podłodze, tylko stare liście, z których robiły się mole, które bardzo nas gryzły. Matis obiecał nam, że postara się o drugie miejsce. I tak kiedy miała miejsce sytuacja z chłopakami, którzy nas odkryli, mieliśmy dobrą wymówkę, by odejść. Jednocześnie przyszedł do nas nasz chłopak prosić, abyśmy na dwa tygodnie opuścili obojęcie, gdyż boi się Józefa Trojanowskiego. Nocą odeszliśmy od niego do drugiego miejsca w tej samej wsi. Odeszliśmy w taki sposób, aby nasz chłopak nie połapał się, dokąd idziemy i choć drugie miejsce było bardzo blisko, poszliśmy okrężną drogą. Z 5 na 6-go września zaprowadził nas do drugiego chłopca.

W ukryciu [tytuł tylko w druku]

Pierwszej nocy ci dwaj Żydzi [Matis i Joel] spali razem z nami. Rano wszedł nasz nowy gospodarz i powiedział do tych dwóch, aby w ciągu dnia wyszli i nie siedzieli u niego. W dzień odeszli. W ciągu dnia siedzieliśmy w stodole, nocą prowadzono nas do nowej skrytki, w której wcześniej już byli u niego ukryci Żydzi. Skrytka znajdowała się w stodole pod sianem. Postawione były drągi a na nich siano. Było ciasno, dwaj nie mogliśmy naraz leżeć. W ciągu nocy było już strasznie zimno. Nie mieliśmy czym się nakryć. Nie mogliśmy się ruszać. Po zapadnięciu zmroku wychodziliśmy się załatwić, a potem [chłop] przykrywał nas sianem. Do kryjówki wchodziliśmy przez dziurę. W niedzielę przychodzili do nas dwaj Żydzi, wtedy siedzieliśmy na sianie. Gospodarz nie dawał dla nich więcej jedzenia, tylko dokładał dwie łyżki. Przynosił nam pieniądze z miejsca, gdzie ukrywaliśmy towar. Zdradził nas jednak, gdyż odbierając pieniądze podpisał pokwitowanie, na którym napisał swoje nazwisko i wieś. Przez 5 dni w tygodniu dawano nam tam chleb, 6-go i 7-go dnia nie dawano nam chleba, pod pretekstem, że w te dni piecze się chleb. Nie baliśmy się ich, gdyż byli to porządni ludzie. Pewnego razu siedziałem na słomie w stodole i zobaczyłem, że do gospodarza przybyła dziewczyna, po jej ruchach rozpoznałem, że jest Żydówką. Rozglądała się na wszystkie strony. Była szwaczką i pracowała we wsi. Utrzymywała też swoją siostrę z dzieckiem. Dziewczyna opowiedziała gospodarzowi, że ją napadnięto, ale wyszła z tego cało. Dziewczyna, wraz z innymi była dziedziczką wiejskiego młyna. Dwie dziedziczki przyszły z lasu do komisarza młyna a ten powiedział, że w młynie są Żydówki. Chuligani napadli

Komentarz [A.Sz6]: Nie jestem pewna słowa: dziedziczką?ręk. koniec skanu 76

dziewczyny, pobili, i chcieli je zgwałcić. Pośród napadających znalazł się chłopak Zygmunt, u którego wcześniej **mieszkalem**.

Komentarz [A.Sz7]: rękopis str. 69 potem w Skanie 10 str. przerwy i str. 79. Zgodnie z numeracją rękopisu w prawym górnym rogu. Ten brakujący fragment tłumaczę z maszynopisu.

I tak ponieważ zima się zbliżała a my nie mieliśmy co na siebie włożyć, postanowiliśmy iść do naszego gospodarza i wziąć coś z rzeczy lub pieniądze. 20-września pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami i poszliśmy do Klimontowa. Szliśmy bocznymi drogami. Było ciemno, wielki upał. Poszliśmy przez las. Po drodze zaczęło padać. Przemokliśmy do suchej nitki. Od czasu do czasu brat mój mówił do mnie, że powinniśmy odpocząć. Odpoczęliśmy. Zaczęliśmy błądzić i wreszcie mój brat ponownie mi powiedział, że już nie może dalej iść. Boli go serce. Proponuje mi, żebym wszedł do wsi Wólka i tam wypożyczył furę by dojechać do Postronnej do chłopą, u którego byliśmy już 2 (3?) dni wcześniej. Ten ponownie powiedział nas, że nie może nas trzymać, gdyż do wsi może przyjechać ekspedycja karna z powodu kontyngentu. Nawet nie myślałem, żeby iść po furę, powiedziałem bratu, aby się postarał dojść ze mną do wsi Postronna. Z wielkim trudem i wysiłkiem dociągnęliśmy się do Postronnej. Doszliśmy do chaty chłopą, zapukaliśmy, ale on się nie odezwał. Odezwała się kobieta, że męża nie ma w domu. Długo prosiliśmy, w końcu wpuszczono nas do domu. Powiedział, że w żadnym razie nie pozwoli nam zostać u siebie nawet przez jeden dzień. Powiedział, że spodziewają się niemieckiej ekspedycji karnej za nie oddanie kontyngentu. Partyzanci ukradli część maszyn do młócenia, żeby nie można było młócić zboża. My jednak znaliśmy jeszcze jeden powód, dla którego nie chciał on nas wesprzeć. Do chłopą w Wiązownicy przybyli dwaj bracia, którzy opowiedzieli, że w połowie września 1943 liceum zostało całkowicie zlikwidowane. Zostawiono jedynie małą liczbę 50 Żydów w jednostce w Makoszynie. W jednostce tej znajdowała się grupa SS, która zajmowała się całą okolicą. Chłop ten był typowym kupcem, utrzymywał kontakt z Żydami w liceum, a teraz, wiedząc że liceum zostało zlikwidowane, nie miał już interesu we wspieraniu nas. Teraz nie pomogły już żadne prośby, mój brat płakał, że nie może już dalej iść. [Chłop] powiedział, że niedaleko są stogi siana, w których można się ukryć. Wyprowadził nas na zewnątrz i pokazał nam dokąd iść. Pola były już zaorane. Mój brat nie mógł stawiać nóg. Już zaczyna dzień i mój brat mówi do mnie, żebym go zostawił. Niech pomyślę sobie, że pośród wszystkich bliskich, których straciłem, znalazł się także on. Rozumieliśmy, że zostać w ciągu dnia w otwartym miejscu oznacza pewną śmierć. Rozpłakałem się, wziąłem go na plecy i zaciągnąłem do stogu. Dzień był już w pełni. Zrobiłem w stogu dziurę, wciągnąłem go do niej. Było nam zimno, byliśmy przemoknięci. Wiał wiatr. Nie mogliśmy się ruszać. Byliśmy jak skamieniali. Nocą zeszliśmy ze sterty. Mój brat nie mógł jeszcze chodzić, choć już czuł się lepiej. W ciągu dnia ubranie na

nas się wysuszyło i wróciliśmy do chłopca, do wsi Postronna. Zaczęliśmy błdzić. Przeszliśmy przez różne wsie, aż do niego doszliśmy. Już nas nie wpuścił. Prosimy go, żeby coś sprzedał. Sprzedaje nam jajka i chleb. Prosimy go, aby wpuścił nas do piwnicy choć na dwie godziny. Pozwolił nam, a po półgodziny przybiegła jego żona, że już dzień i że mamy wyjść. Ponownie idziemy do stogu, gdy dochodzimy do sterty jest jeszcze noc. Zaczęliśmy szycować sobie lepsze miejsce. Robimy w stogu grotę. Jest to ciężka praca, od rwania siana, zaczynają nam krwawic ręce. Nie czuliśmy się i tak pewnie, gdyż chłopcy mogli przyjść po siano. Weszliśmy do pieczary, zamaskowaliśmy wejście i tak leżeliśmy. Tego dnia cudem nie udusiliśmy się z gorąca. Nocą znów wyszliśmy i znów błdziliśmy. Trzeci raz idziemy do chłopca w Postronnej. Mówimy mu, że już odchodzimy i prosimy go, aby dał nam tylko się najeść. Wprowadza nas do obory, gdyż w domu jest znajoma. Po dwóch godzinach wprowadza nas do komórki, daje nam kolację, za którą żąda 75 zł. Idziemy dalej. Było to w czwartek 23-go września. Mój brat proponuje, żebyśmy poszli do chłopca Polita we wsi Goźlice, który był naszym znajomym. Nie chciałem do niego iść, gdyż wiedziałem, że nas nie przechowa. Na żaden zarobek nie pójdzie, bo był bardzo bogaty. Miał ponad 20 mórg najlepszej ziemi „sandomierki” a iść tylko po to by się najeść, nie chciałem. Mój brat jednak nie poddał się, cały czas męczył mnie, abyśmy do niego poszli. Przeszliśmy wieś Ossolin, pół kilometra od mieszkania Polita. Nie byliśmy świadomi, jakiego wielkiego niebezpieczeństwa uniknęliśmy, gdyż w Ossolinie był posterunek ukraińskiej straży, która pilnowała gorzelni. Przeszliśmy przez wieś, i idziemy obok pól, przechodzimy przez pola buraków cukrowych. Droga była ciężka i brat mówi: – Może wstąpimy do Wacka?” Zgodziłem się z nim. Poszliśmy do chałup, chcemy wejść, na podwórku był niebezpieczny pies, rzucał się na płot, pukamy do okna. Krzyczymy: – Andrzej, otwórz!, spał jak zabity. Ale jego żona usłyszała. Pyta: –Kto tam? (po polsku) Odpowiadam: –Krawiec z Klimontowa. Wyszła nam otworzyć. Nie daje sobie rady z własnym psem. Budzi Wacka. Wychodzi i wpuszczają nas. Bardzo cieszą się z nas a ona mówi, że idzie naszykować dla nas coś do jedzenia. Proszę, żeby nie szła. Nie słucha. Przynosi 6 ugotowanych jajek, i żelazny garczek ze słodką, czarną kawą. Daje nam chleb, stary o wszystko nas wypytuje. Jak uciekliśmy. Stara mówi do niego: – Nie męcz ich teraz, niech zjedzą. Zanim wypilem garnek kawy, podała już drugi. Patrzę na zegar, jest już w pół do pierwszej w nocy. Stara patrzy na nas i mówi: – Moi biedni chłopcy. (Moje biedne chłopaczyny- dopisek po polsku) myśleliśmy już, że powie „idźcie”. Ale ona mówi do nas: -Chodźcie, pokażę wam, gdzie możecie spać. Prowadzi nas na strych w oborze, kładzie nam słomę, przynosi z domu wszystkie kurtki i nas nakrywa. Rano przychodzi mały chłopczyk, ma 11 lat, wyprowadza siedem krów, które były w oborze. Wchodzi matka i

mówi, że mamy wejść i się umyć. Baliśmy się schodzić, ale uspokaja nas, że nie przychodzi tam nikt obcy. Schodzimy do obory, myjemy się domowym mydłem, wracamy na strych. Stara przychodzi na strych i pyta, co będziemy jedli. Przynosi nam kartofle z barszczem. Wieczorem szykujemy się do odejścia. Tego samego wieczoru poszliśmy do jakiegoś chłopca w Gorlicach, u którego mieliśmy buty, bieliznę i inne drobiazgi. Chcieliśmy zanieść to do starosty, aby to pozostało u niego. Wchodzimy do chłopca, nie ma go w domu, jest tylko jego matka. Usiedliśmy w sadzie, i czekaliśmy, aż wróci. Chłop wchodzi do stodoły, przynosi nasze plecaki, ale nie ma w nich nawet jednej trzeciej z tego, co mu zostawiliśmy. W tym czasie przejeżdża koło chaty wóz z partyzantami, chowamy się, potem pytam chłopca, gdzie są moje rzeczy. Mówi nam, że przez jakiś czas trzymał plecaki w Sandomierzu u Polaka i tam je zamieniono. Dał nam 200 zł, suche śliwki i powiedział, żebyśmy wstąpili do niego jeżeli będziemy przechodzić, da nam coś jeszcze. Żeby się nie domyślał, w której jesteśmy na wsi, poprosiliśmy go, żeby pokazał nam, drogę do Klimontowa. Poszliśmy od niego do chłopca, u którego ukrywał się Żyd. Gdy doszliśmy blisko drzwi, usłyszałem, że Żyd mówi do chłopca: – Idź już spać. Zapukaliśmy, chłop nam otworzył. Weszliśmy do domu. Pytamy go co słyszał u Żyda? Chłop mówi, że go nie ma. Ale ja mówię: – Nie opowiadaj mi bajek, chcę się z nim widzieć. Idzie do stajni i przyprowadza Żyda. Pytam, jak mu tu jest. Ukrywał się już u tego chłopca 9 miesięcy. Jego brat był w liceum, a po likwidacji liceum uciekł i był już w drodze do brata. Żyd nie mówi mi, jak go traktują, ale prawdopodobnie w całej Polsce nie było lepszego miejsca. Chłopi, u których przebywał, nie mieli dzieci. Chodzili dookoła niego, a potem także dookoła jego brata jak wokół dziecka. Chłopka dzieliła się z nim każdym kęsem. Prała mu bieliznę, strzygła ich. Chłop, Teofil Polit, został później zabity przez mnie. Ona nazywała się Józefa. Żydzi, którzy u nich mieszkali, nie mieli pieniędzy. Małżeństwo to nie zrobiło na nich żadnego interesu. Pożegnaliśmy się i odeszliśmy z tego domu. Wróciliśmy do naszych gospodarzy, którzy także nazywali się Polit. Znow położyliśmy się w oborze. Rano przyszła do nas gospodyni i zapytała, czy odzyskaliśmy nasze rzeczy. Oszukałem ją mówiąc, że dostaliśmy rzeczy z powrotem. Nocą poszliśmy do starosty, który mieszkał w Pęchowicach. Jego sklep, znajdował się w Klimontowie. Był już wieczór, gospodarz pyta nas, czy wrócimy. Odpowiadamy, że tak i udajemy się w kierunku Pęchowic. Musieliśmy przejść przez wieś Zakrzów. Przy każdej chacie spotykamy parę, wszyscy nas znają, ale nikt nic do nas nie mówi. Idziemy dalej, za wsią drogi się krzyżują. Mija nas znajomy Polak. Nic nie mówi. Nagle ktoś nas oświeca i słyszę krzyki: – Kto idzie? Odpowiadamy: – Swój. Pyta: – Skąd? Krzyczy mój brat: – Z Sandomierza. Jednocześnie dodaje: – Idziemy z obozu. Każe nam stać, świeci nam w oczy. Gdy mu się dobrze przyglądam spostrzegam, że ubrany jest w mundur

żandarmerii i trzyma wycelowany na nas pistolet. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest to żandarm, ale zaraz zorientowałem się, że jest on partyzantem. Ponieważ mój brat powiedział, że idziemy z obozu, ten zrozumiał, że jesteśmy Żydami, gdyż w Sandomierzu był obóz tylko dla Żydów. Zapytał: – Żydki? Zaczął nas wypytywać, dokąd idziemy, do kogo. Mówimy, że idziemy do Klimontowa. Mówimy, że nie mamy nikogo, idziemy tam tylko sprzedać znajomym rzeczy, żeby kupić chleb. Chce koniecznie wiedzieć, do kogo idziemy, bo uparł się, że u kogoś zostawiliśmy rzeczy. Ale trzymamy się jednego. Kiedy brat mówi mu, żeby nas przeszukał i się przekonał, czy mamy pieniądze, odpowiedział: – Nie potrzebuję waszych pieniędzy. Zaczął gwizdać. Pewnie chciał zaalarmować pozostałych kolegów, żeby przyszli, ale nikt nie przyszedł. Prowadzi nas w różne miejsca. Brat proponuje, abyśmy uciekli, ale ja nie chcę. Brat prosi go, żeby nas puścił, ale ten mówi: – Nie zbliżajcie się do mnie! Wreszcie po prowadzaniu nas w tą i z powrotem mówi: – Nie idźcie do Klimontowa, gdyż tam jest posterunek policji. Pyta nas co mówi się o wojnie, odpowiadamy mu, że mówi się, że niedługo będzie już po wojnie. Na koniec pyta: – Palicie? (po polsku: palita?) Wyjął jeszcze dwa papierosy i ponownie ostrzegł, żebyśmy nie szli do Klimontowa po czym nas wypuścił. Poszliśmy dalej, dochodzimy do Pęchowic. Jest jeszcze wcześniej. Z domu, w którym mieszkali Żydzi, słyszymy śmiech gojów i gojek. Ktoś oświeca nas latarką. Wchodzimy na dziedziniec domu starosty. Pies zaczyna szczekać, słyszymy kroki, ktoś pyta: – Kto idzie? Mówimy, że idziemy do starosty. Pyta, po co. Mówimy, że mamy do niego sprawę, wskazuje nam, że mamy pójść na lewo. A kiedy poszliśmy we wskazanym kierunku, tamten wszedł drugimi drzwiami i zapowiedział, że pyta o niego dwóch nieznajomych. Kiedy pukamy, starosta pyta: – Kto tam? Odpowiadamy: – Krawiec z Klimontowa. Słyszymy, że szepczą coś między sobą i starosta mówi mu, żeby otworzył. Kiedy drzwi się otwierają stoi pierwszy, którego spotkaliśmy na ulicy w jednych drzwiach i starosta w drugich. Okazało się, że jest to agronom z dworu. Pierwszy wchodzi mój brat, ja za nim. Starosta nie wita się z nami, mój brat stoi przy drzwiach. Spojrzałem na brata i opadł mnie strach. Twarz jego przepelniona była strachem. Starosta nie kazał nawet sięść. Było to w sobotę 25-go września, w pokoju było czysto, elektryczne oświetlenie. Chodzi w piżamie, boso, w okularach. Na stole leżą papierosy. Napelnia je i nie mówi nawet, żebyśmy się poczęstowali. Jego żona kąpie dziecko. W pokoju jest ciemno, na stole leży książka Kaden-Bandrowskiego, widzę, jak przyglądają się nam, jak wyglądamy, pyta, skąd przychodzimy. Odpowiadamy, że uciekliśmy z obozu. Mówi, że źle zrobiliśmy, że uciekliśmy, gdyż w rejonie sandomierskim nie przetrwamy nawet dwóch tygodni. Odpowiedzieliśmy jednak, że już 2 miesiące jesteśmy na wolności i że nawet spotkaliśmy właśnie partyzanta, który puścił nas wolno. Z jego spojrzenia wywnioskowałem,

że nie jest z tego zadowolony. Radzi nam, abyśmy wrócili do obozu. Mówię: – Mam iść robić broń dla bandytów, którzy zamordowali moich rodziców? Mówi on – To głupoty. 3 miliony Polaków pracuje dla Niemców. Odpowiedziałem jednak, że nie wrócę już do obozu. Mówi, że Fligelman nie żyje, Szuldmann też nie i że zamordowali ich Polacy. Tymi słowami chciał nas przybić. Powiedział, że jest tylko jeden mądry Żyd, jest nim Melach Wajsbłat. Melach Wajsbłat był to Żyd, który przekazał mu swój sklep w Klimontowie. Pyta, z jakiego powodu przybyliśmy. Prosiłem go, że jeśli wyślemy do niego ludzi, niech wyda im pieniądze. Odpowiedział mi na to: – Nie chcę mieć do czynienia z Żydami (po polsku: Ja nie chce z Żydami mieć do czynienia), a gdy go pytam dlaczego, odpowiada: – Bo Żydzi to złodzieje (po polsku: bo Żydzi są szubrawcy, złodzieje). Mówię mu: – Panie starosto, znał pan przecież mojego ojca i wie pan, jakim był pracowitym człowiekiem. Odpowiada: – Ja z Żydami nie chcę mieć do czynienia. I mówi: – Jeżeli chcesz, zabieraj wszystko, bo częściowo nie będę oddawał. Bierście, bo inaczej może przepaść. Mówię, że wyślę ludzi, którzy wszystko to wezmą. Mówię, że przekażę ten towar prokuratorowi Wieczorkowi. Umawiam się z nim, że napiszę mu list, a on odpowie na ten list, kiedy należy przybyć po towar, bo towar nie leży u niego. Poprosiliśmy go o pieniądze, początkowo się wykręcał, potem podszedł do szafy i dał mi 1000 zł. i bratu 1000 zł. Żegnamy się i wychodzimy. Było w pół do 11 w nocy. Nie wiemy, dokąd się udać. Kilka kroków od domu słyszymy ponownie krzyk: – Kto idzie? I idziemy dalej. Wychodząc z jego ogrodu słyszymy, że ktoś się namawia. Mówię do brat: – Czekaj. I kiedy tak stoimy, wychodzi agronom Jojnca. Stoimy przed domem, nie zauważył nas. Widzimy, że idzie w kierunku samochodu, dało się słyszeć ciche szeptanie. Coś omawia z nimi. Spostrzegamy, że podzielił grupę na dwa. Jedna ma nam zastawić drogę do Klimontowa, drugi ma zastawić drogę do Zakrzowa [Zakrzów]. Znow wchodzi do starosty. W tym czasie przycisnęliśmy się do parkanu i położyliśmy się na ziemi. Wszedł do starosty, prawdopodobnie dowiedzieć się dokąd poszliśmy. Postanowili spuścić psy, psy szukały nas dookoła. Leżeliśmy do świtu przy parkanie, a gdy zobaczyliśmy, że pikieta się poddała, wyszliśmy przez otwór w parkanie. Gdy dotarliśmy z powrotem do Goźlic już dniało.

26 września przychodzi na górę gospodyni i pyta nas, czy wydano nam majątek. Opowiedzieliśmy jej o wszystkich naszych przeżyciach, nie kryjemy się przed nią. Brat mój bardzo się rozplakał, powiedział: – Kto nam pomoże? Kto nas wpuści? Ona na to: – Nie płacz, zostaniecie u mnie. Ponieważ umówiliśmy się ze starostą, że pošlemy po towar, wzięliśmy starszego syna chłopca, daliśmy mu list do starosty, aby wyznaczył termin, w którym ma przyjść po towar. Chłopak poszedł do Klimontowa, starosta zaczął go wypytywać,

dlaczego interesuje się jakimś Żydem, odpowiadał należycie, a starosta wyznaczył termin, w którym należy przyjść. Napisałem upoważnienie na wydanie towaru, i wysłałem już młodszego brata. Aby go nie rozpoznano wypożyczył konia w drugiej wsi. Gdy przybył, starosta wypytał go, skąd jest. Ale ten się wykręcił. Starosta oddał trzecią część towaru, wtedy porozmawiałem ze starszym synem, abyśmy mogli u niego zostać. Obiecuje, że porozmawia z ojcem. Dwa dni później przychodzi i mówi, że się zgadza. Pytam, ile będzie kosztował nasz pobyt. Mówi, że 6000 zł. miesiąc, po długich potyczkach przystał na 3000 zł za miesiąc. Nie zapłaciłem mu pieniędzmi, lecz materiałami, tak że i tak wyszło 6000 zł. Obiecałem im także, że jeżeli zostaniemy uwolnieni, oddamy im pozostały towar. Tak też zrobiłem. Po wyzwoleniu przekazałem im towar wart 10-12 tysięcy złotych. Byliśmy w stajni na górze. Przebywając na strychu przez tydzień, zachorowałem na dyzenterię. Wiedziałem, że jest to niebezpieczna choroba i bałem się im przyznać, że jestem na to chory, obawiając się, że mogliby mnie wyrzucić. Dlatego też sam zrobiłem, co się da. Przez tydzień niczego nie jadłem. Mój brat zjadał moje jedzenie. Kiedy wyzdrowiałem brat mój zachorował na tę samą chorobę. Brat chorował kilka miesięcy. W piątek 8-go października 1943 w Klimontowie odbywał się jarmark. Po krótkim czasie przyjechał mój gospodarz i opowiada, że niedaleko miasta cały targ się rozjechał. Ot, co się wydarzyło:

W Klimontowie znajdował się posterunek niemieckiej żandarmerii. 7-października złapali polskiego protestanta i wsadzili go do więzienia. Ten wydostał się z więzienia i uciekł w kierunku kościoła. W tym momencie spacerował tam komendant żandarmerii z Klimontowa majster Lescher i dwaj inni żandarmi. Krzyczeli za nim, aby stał. Nie posłuchał, więc strzelono do niego i go raniono. Wtedy podszedł do niego Lescher i go zastrzelił. Rozkazał pochować go na cmentarzu żydowskim. To przekazał mi 7-go października najstarszy synowi dodając słowa: – Ot, zobaczysz, że nie przeżyje. I rzeczywiście. Następnego dnia, kiedy nasz gospodarz przyjechał z powrotem opowiedział, że do Leschera podszedł partyzant na ulicy i wystrzelił w niego 5 kul i zabrał mu pistolet. Wkrótce po tym wsiadł do samochodu, który na niego czekał i uciekł. Po jego ucieczce do Klimontowa przybyła żandarmeria, zaczęła strzelać i zastrzeliła pewnego Tadka Grudnia. Mój gospodarz wystraszył się, że coś stanie się w Klimontowie. Ja i brat cieszyliśmy się, że Lescher nie żyje. Poprosiliśmy starego z synem, aby zrobili dla nas kryjówkę, gdyż baliśmy się leżeć na górze. Odkładali to z jednego dnia na drugi. Trwało to do początku listopada. Wreszcie, 13-go listopada nowe mieszkanie było gotowe. Zrobione zostało ono w stodole. Długość kryjówki wynosiła 1,75 m, ani o włos nie była dłuższa od nas, szerokość 1,25m, wysokość 1,28m. Nie mogliśmy tam wstać. Mogliśmy

tylko siedzieć bądź klęczeć. Ciemno było tam, jak w najciemniejszą noc. Jeśli nie było nikogo wychodziliśmy do stodoły, ale przez większość czasu leżeliśmy w kryjówce, gdyż do gospodarzy przychodzili goście. Przychodził do nich kuzyn ze Salowej Woli, niejaki Zaremba. Był lewicowcem, przynosił wiadomości z frontu, a nasz gospodarz ciągle przychodził do nas na górę i mówił: – Wojna wisi na włosku. Ten sam Zaremba na wsi mówił z sympatią o Rosji, dlatego zaczęli go szukać partyzanci z AK i zatrzymali go. Ale dzięki interwencji naszego gospodarza, że to porządny człowiek, zwolnili go. Leżąc na górze i widząc, że do wyzwolenia jeszcze daleko, poprosiłem syna, żeby przyniósł nam tajne ulotki (prasę podziemną), gdyż chcieliśmy wiedzieć, co słychać. Przyniósł nam gazetkę „Szlakiem Chrobrego”, następnie przynosi biuletyn NSZ, „Informacje Narodowych Sił Zbrojnych”. Biła stamtąd nienawiść do Rosji, do Armii Czerwonej i ruchu lewicowego w Polsce. Dają odpowiedź PPR-owi, który proponuje złączenie wszystkich partii w walce przeciw niemieckiemu okupantowi. W swoim piśmie odpowiadają na to, że jeszcze nie czas stawać do walki, nie należy słuchać PPR, gdyż w tym przypadku PPR myśli o dobru Rosji. Piszą dalej, że „Wtedy wystąpimy przeciwko Niemcom, kiedy uznamy to za konieczne”. W drugiej gazetce autor wystąpił przeciwko nowym granicom wschodnim, które mają być zatwierdzone. Nie chodzi o wschodnie granice- mówi, ale powinniśmy żądać Lwowa i Grodna dla Polski. I tak otrzymywaliśmy co 10 dni ulotkę. 25-go lutego 1944 otrzymałem ostatnią gazetę. Kiedy prosiłem o kolejne gazetki, gospodarz powiedział, że gazeta już nie wychodzi. Ale domyśliłem się, że ponieważ w gazetkach występowało zdecydowanie przeciw Rosji i przeciwko Żydom, dlatego nie chcieli mi ich dawać. Zima [gospodarze] pożyczili sobie nową maszynę do szycia od swojego zięcia z innej wsi i w nocy wychodziłem ze swojej kryjówki i szłem dla nich. Kiedy dałem im do zrozumienia, że schodzenie na dół jest dla mnie niebezpieczne, gdyż mogą przybyć partyzanci lub strażnicy, gdyż niedaleko był ich posterunek, nie przywiązywali do tego wagi. Gdy przyszedłem nocą do pracy, gospodarz opowiedział mi, że we wsi Sulisławice u księdza ukrytych było 12 Żydów, a inny ksiądz go zadenuncjował. Pośród tych 12 Żydów znajdował się rabin. Wzięto ich wszystkich i zastrzelono. Innym razem opowiedział mi, że w sąsiedniej wsi Jugoszów u chłopca Jurkowskiego ukrytych było 9 Żydów, właścicieli olejarni. I on sam, wraz z pewnym Stanisławem Marcem, z Koziej Góry, zamordowali ich. 9 Żydów leży pochowanych obok kaplicy w Jugoszowie.

Komentarz [A.Sz8]: Skan 76
od tej pory kontynuacja w
rękopisie.

U tego samego Stacha Marca ukrytych było 3 Żydów: Jankiel Apelbojm, Mojsze Tencer i Jankel Grinsztajn. Szantażował ich z kolegami tak, że musieli stamtąd uciekać. Tak ich

prześladowano, że pod koniec marca 1943 wpadli dzięki donosowi Tadka Brzozowskiego z Klimontowa. Złapano ich we wsi Konary. Przyprowadzono ich do miasta, Niemcy, przed śmiercią, oprowadzili ich po Klimontowie. Ten sam Brzozowski szedł za nimi i krzychał: –Jesteście przecież silni! Wyprowadzono ich za miasto i zastrzelono. Temu samemu Brzozowskiemu Niemcy dali pistolet, i on także strzelał do nich. Wiosną 1944, przyszedł do mnie młodszy chłopak i opowiedział, że w tej samej wsi, psy wygrzebały za stodołą martwe ciało. Było to ciało Gerszona Kelbika, którego uduślił Stanisław Mazur z Goźlic. Doszło do tego w następujących okolicznościach: Kelbik uciekł ze Skarżyska. Kręcił się w tamtej okolicy. W tamtym czasie znajdował się tam Żyd z Chmielnika, który ukrywał się na polskich papierach. Pracował wśród chłopów jako krawiec. Kiedy chłopci dowiedzieli się, że ma on pieniądze, wzięli Kelbika, żeby pokazał, gdzie jest krawiec. A kiedy pokazał, zastrzelili krawca Jegelnika a Kelbika uduśli.

W tym czasie, kiedy przybywałem u swojego gospodarza, wysłałem list do prokuratora z sądu w Radomiu, aby wysłał mi pieniądze lub rzeczy. Miałem u niego biżuterię mojej matki i garderobę. Ale nic mi nie wysłał. A gdy napisałem mu, aby wysłał mi granatowy garnitur, odpowiedziała mi jego siostra, że przecież raz już wzięłem garnitur. I tak 5 razy wysłałem mu posłańca, a on nie dał mi ani grosza. Po wyzwoleniu zamordowany został jako członek AK.

23-go kwietnia 1944 roku postanowiłem z bratem, że powinniśmy pójść do Żyda, który ukrywał się u rodziny Polit. Idziemy i spotykamy tam już drugiego brata, który przybył po likwidacji liceum. Kiedy pytam, jak im idzie, zaczęli klócić się z nami, że przez nas uciekli z obozu i jeśli partyzanci ich zamordują, będziemy za to odpowiedzialni. Pytamy ich gospodyni, która ma tak samo na nazwisko, jak nasza, o nowości. Mówi, że Rosjanie rozpoczęli ofensywę. Tak było w rzeczywistości. Front zaczął się przybliżać. Nasi gospodarze zaczęli mówić, że powinniśmy znaleźć sobie nowe miejsce. 23 maja weszliśmy do Żydów, mówiąc, aby naraili nam inne miejsce. Wróciliśmy do domu z tym, z czym wyszliśmy. Nasze położenie staje się krytyczne. Rano 24-go maja do wsi wchodzi Kozacy, Własowcy. Wtedy nasze położenie staje się jeszcze gorsze. W całej wsi zakwaterowani byli Kozacy, tylko u nas nie było. Także u tamtego Polaka [Polita] byli zakwaterowani Kozacy, ale gospodarze nie nakazali odejść Żydom. Rzeczywiście przez Kozaków także nasi gospodarze musieli nas trzymać, gdyż wyjście na próg było groźne dla życia. Położenie było niebezpieczne.

Pewnego razu podczas pogrzebu Kozaka pop powiedział, że Kozacy przybyli rżnąc Żydów i komunistów. We Postronnej Kozacy złapali trzech Żydów. Chłopkę Niedzbiałą, która ich u siebie trzymała, na śmierć zatłukli kijami. Wśród 3 zamordowanych Żydów znalazł się Matis Fajnkuchen, który przychodził do nas w Wiązownicach i Zalman Bojm. Kilka dni później śle syna gospodarza do pewnego Polaka, Dawida Banacha w Klimontowie, aby odesłał mi materiał, który miałem u niego. Zamiast 75 sztuk, które zostawiłem u niego, wysłał mi 7 sztuk. Napisał mi, że pozostałe szpulki, musiał sprzedać na chleb. Odpisałem mu list, w którym zarzucałem mu, jak mógł bez mojej wiedzy pozwolić sobie na sprzedanie materiału. To go tak ruszyło, że złapał posłańca i krzyczał do niego – Chodź ze mną na posterunek policji. Chłopak ledwo się wyrwał. Wrócił śmiertelnie przerażony i przekazał, że Dawid Banach tak powiedział: –Co on mnie straszy, bolszewicy są jeszcze daleko. Zajście to miało miejsce dwa tygodnie przed wyzwoleniem. W między czasie mieliśmy wielkie zmartwienie. Córka naszych gospodarzy, 14- letnia dziewczyna po prostu rozchorowała się ze strachu. Bała się, że z naszego powodu Niemcy i Kozacy ich zamordują. [Pewnego razu] przychodzi do nas stara z najmłodszym chłopakiem, i mówią kategorycznie, że musimy odejść. A my słyszymy już odgłosy z frontu. Nie pomaga prośenie, mówimy więc, że odejdziemy tylko po tym, jak najstarszy Wacław, wypowie swoje zdanie na ten temat. Wacław miał w domu decydujące słowo. Idziemy do niego, prosimy go, że nie mamy dokąd iść. Ale on mówi: - Co mam robić, skoro mama się boi? Mała odzywa się z płaczem: – Co się stanie, jeśli was znajdą, wtedy nas wymordują (po polsku). Prosiłszy go: – Wacek, dokąd nas wyślesz? Wyjaśnia, że nie wie, co zrobić. Położenie było jeszcze utrudnione tym, że jeden z synów, Maniek, był w AK i matka bała się, że przyjdą szukać jej syna a znajdą nas. W końcu Wacek powiedział: – No, włóżcie się do dziury (po polsku: No, łażta do dziury). Ulżyło nam.

6-go czerwca rozpoczął się drugi front. 12 czerwca AK zmobilizowała większe siły, pośród swoich członków, liczyli na to, że Anglia wcześniej zajmie Polskę. W tym czasie zmobilizowali także Mońka. W tej wsi zmobilizowany został także Jan Barański, maturzysta. Kiedy AK zobaczyła, że ofensywa rosyjska rozwija się w szybkim tempie i że Rosjanie nadejdą prędzej, niż Anglicy, 23 lipca zdemobilizowali wielu, pośród nich także Mońka, który wrócił do domu. Demobilizowali w tym momencie, w którym Rosjanie stali już przy Wiśle. Front był 20 km od nas. 23-go lipca przybył do naszego gospodarza Zaremba ze Stalowej Woli ze swoim przyjacielem. Położono ich spać w stodole, ale oni nie wiedzieli o nas. Kładą się spać i słyszę, jak ze sobą rozmawiają, Zaremba mówi: – Ale walą (po polsku). Odpowiada jego przyjaciel: –Ach, to na pewno manewry (po polsku). Wtedy mówi Zaremba:

– Założę się z tobą że za dwa tygodnie czerwoni będą tutaj. Ja także nie wierzyłem, że Rosjanie (Rojte) są tak blisko, gdyż gospodarz powiedział nam, że czerwoni zrobili jedynie desant, a to byłoby gorzej, bo Niemcy zniszczą desant i zemszczą się na społeczeństwie. Pewnego dnia przychodzi do nas gospodarz i przynosi jakieś wezwanie w języku niemieckim, które zrzucają rosyjskie aeroplany. Było to wezwanie od niemieckich generałów, którzy byli aresztowani. W swoim apelu pisali, że należy się poddać, gdyż wojna jest przez Niemców przegrana. Front zbliżał się, chodziły plotki, że Niemcy ewakuują ludność. Atmosfera stawała się gorąca. Pewnego razu do wsi wszedł wermacht i zakwaterował się we wsi. Słyszymy już odgłosy artylerii. Każdy strzał ogłuszał nas w naszej kryjówce. Pewnego dnia przybiega mała dziewczynka i mówi, że na polu gdzie koszone zboże, trzech ludzi zranionych zostało przez strzały. Innym razem przybiega i mówi, że nabój eksplodował przy lipach, niedaleko naszej chaty i że Niemcy zamontowali telefony polowe. Tego samego dnia opowiedziała, że zdjęli ten telefon. Nocą jest strasznie. Płonie ze wszystkich stron. Dookoła widać jeden wielki ogień. Nasi gospodarze boją się być w domu i robią sobie schron przeciw atakom lotniczym. A my leżymy w stodole na sianie, czujemy, że w ostatniej minucie możemy zapłacić naszymi głowami. Niemieckie wojsko cofa się bez przerwy. Pewnego razu przychodzi do naszej kryjówki gospodarz, trzyma naszą brudną bieliznę i mówi: –Chłopcy, to jest wasze. Jak stodoła się zapali, uciekajcie. Cała rodzina odchodzi. W poniedziałek 7-go sierpnia gospodarze odeszli do drugiej wsi w sąsiedztwie, gdzie mieli zamężną córkę. Zostaliśmy jedynie my z psem. Tylko najstarsza dziewczyna kręciła się jeszcze przy krowach. Przyszła do nas i bardzo nas żałowała, powiedziała: – Co się z wami stanie? Dała nam chleb i także odeszła. Leżymy tak, mogła być 11 godzina rano, brat mój przez dziurę w ścianie zobaczył, że na podwórko weszli żołnierze. Zobaczył, że jeden poszedł do kuchni letniej, z bronią maszynową. Przyszli jeszcze dwaj żołnierze i położyli się z bronią przed chatą. Mój brat powiedział, że są inaczej ubrani niż Niemcy i że to są Rosjanie. Sądziliśmy, że są to Własowcy. Mój brat chciał uciekać, ale powiedziałem mu, że nie mamy dokąd biec. Spoglądałem przez dziurę i widzę, że podwórko pełne jest wojska. Jednocześnie żołnierze z bronią maszynową weszli do stodoły. Myślałem, że jest to już nasz ostatni dzień. Apel, który przyniósł nam gospodarz, ukryłem w ziemi. Brat jeszcze raz spojrzął przez dziurę i powiedział, że zdaje mu się, że to czerwoni, bo ich szlify pokryte czerwienią. Tak leżymy do godziny pierwszej w dzień. O pierwszej przybiega Wacek i Moniek, walą do nas i z wielką radością krzyczą: „Wylaźta, bo bolszewicy już są”

Wychodzimy, pytamy czy to desant, a on odpowiada, że to nie jest desant, idą czołgi, samochody, cała armia, szosy są zajęte. Nasi gospodarze proszą nas, abyśmy wyszli nocą, gdyż nie chcą wiedzieć, aby wieś wiedziała, że ukrywali Żydów. Siedzieliśmy aż do nocy. Wyglądam na zewnątrz, widzę, jak przychodzą żołnierze do studni po wodę. Jednocześnie widzę, jak pojawia się cyganka, już pobiegła do gospodarstwa rabować. Wojsko przychodzi, wojsko odchodzi. Widzę jak żołnierz wchodzi do chaty. Nie mogłem się powstrzymać i schodzę do gospodarza. Żołnierz pyta, czy jestem gospodarzem i pyta, czy mam bimber. Odpowiadam mu, że nie jestem gospodarzem, jestem Żydem. Był to młody żołnierz, nie wierzył własnym oczom i nadal prosił o bimber. Wszedłem do piwnicy. Znow przyszło wojsko. Szukali wszędzie i weszli do piwnicy. Żołnierz z karabinem w górze zapytał kim jesteśmy? Powiedzieliśmy mu, że jesteśmy Żydami. Nie zrozumiał, dlaczego jeszcze się ukrywaliśmy. Wprowadził swoich przyjaciół, aby się nam przyjrzeni. Żołnierze nie rozumieją, dlaczego nie wychodzimy, biorą nas pod ręce i wyprowadzają nas na podwórko. Było to o godzinie 2-3 podczas dnia. Po kilku minutach wróciliśmy do skrytki. Nocą kręciliśmy się po oborze i znow weszliśmy do kryjówki, przespać noc i w dzień iść dalej. Kiedy tylko się położyliśmy, puka Wacek i mówi, żebyśmy wyszli. Wyszliśmy i poszliśmy spać do schronu na polu. Przez całą noc grzmiała sowiecka artyleria. Front zatrzymał się w kierunku Włostowa 6 km przed nami. Od 7-go sierpnia 1944 do 12 stycznia 1945, front stał tam. Rano wstaliśmy i poszliśmy. Poszliśmy do Klimontowa, po drodze szedł za nami żołnierz sowiecki, który niósł wodę i przy cmentarzu zatrzymał nas i zaprowadził do komendanta. Komendant kazał pokazać sobie dokumenty. Mówimy mu, że nie mamy dokumentów, gdyż jesteśmy Żydami. Uwolnił nas, żołnierz, który nas zatrzymał zapytał: „Dlaczego rozmawialiście między sobą po niemiecku?” Weszliśmy do Goźlic, (chata naszego gospodarza znajdowała się pół kilometra od wsi), weszliśmy do znajomego chłopca, Jana Barańskiego. Wytrzeszczył na nasz widok oczy. Poradził nam, abyśmy oddalili się z tej okolicy, gdyż nie jest tu spokojnie. Mogą nas tu zamordować, poszliśmy dalej. Po drodze w rowach leżą ciała zamordowanych żołnierzy niemieckich, rozwalone czołgi. Spotyka nas mieszczanin z naszego miasta i opowiada, że Klimontowie jest 10 Żydów, pośród nich Gotlib, który teraz mieszka u mnie. Okazało się, że w Klimontowie jest tylko jeden Żyd, który opowiada, że uciekł jeszcze z 10 ludźmi, którzy jeszcze nie przybyli. Przed miastem ukazują się niemieckie samoloty. Lecą przez miasto. Wchodzimy do miasta. Przechodzimy koło kościoła, wychodzą stamtąd mieszczanie. Pytam o moich dłużników, odpowiadają, że część została złapana przez Niemców podczas łapanek. W mieście jeszcze się pali. Dowiaduję się, że Niemcy przed wyjściem oblali domy benzyną. Wchodzę na rynek, z daleka spostrzegam starostę Hejnocha z

dwoma mieszczanami. Woła z udawaną radością: – Oto mój krawiec! Było to po tym, jak u niego byliśmy. Podaje nam rękę i pyta, jak przeżyliśmy ten czas. Przez rynek przechodzi mały oddział wojska, a mieszczanie dają nam do zrozumienia, że Rosjanie wkrótce odejdą. Zatrzymujemy oficera i pytamy, czy to prawda, że Niemcy wrócą, wybuchają śmiechem i mówią: – Niemiec już tu nie przyjdzie. Uspokajamy się, kręcimy się po mieście. Idziemy do mieszczanina i kupujemy sobie coś do jedzenia. Podczas gdy jemy śniadanie wbiega mieszczanka i krzyczy, że Rosjanie uciekają. Wybiegamy, idziemy do ?[regulirowszczu] a on mówi, że to nieprawda. Każe nam iść do politruka, Żyda, który znajduje się we wsi Nowodzice, a on powie nam wszystko. Podstawił samochód i pojechaliśmy do komendanta. Przyjął nas dobrze, dał nam obiad z kuchni i siedzieliśmy u niego. Wziął Żyda Waksmana i powiedział mu, że ma nas zaprowadzić do komendanta wojennego z Klimontowa. Komendant stał ze wszystkimi mieszczanami i żartował z nimi. Powiedział mi, że mam się wziąć do pracy i wprowadzić się do swojego mieszkania. Mieliśmy także incydent z mieszczaninem, który poszedł do rosyjskiego żołnierza i powiedział, że Żydzi wspierali Niemców. Rano z bratem poszedłem do prokuratora Wieczorka. Cała rodzina była zmieszana (?). Wszedł syn prokuratora i zapytał, czy będziemy jedli obiad. Powiedziałem, aby oddali mi towar i biżuterię, które zostawiłem u niego. Prokurator powiedział, że umówił się z moim ojcem, że odda te rzeczy dopiero po wojnie. Prawdziwym powodem było to, że nie miał tych rzeczy u siebie w domu, i nie może ich mi teraz oddać. Od niego poszedłem na cmentarz żydowski. Przedstawiał sobą straszny obraz. Kamienny mur był rozebrany i rozkradziony przez Polaków, macewy, prawie wszystkie, pokruszone, pozostało może 20 procent. Mieszczanie postawili sobie obory z żydowskich macew. Ziemia była rozkopana, gdyż brali stamtąd piasek do budowy mleczarni. Patrzą na masowe groby i szukam grobu małżeństwa, które partyzanci zamordowali w areszcie. Polski stróż z gminy żydowskiej pokazał mi ich grób. Opowiada mi, że mieszczanie wykopali zwój tory, i go ukradli. Parochet wykorzystali jako wyściółkę do butów. Opowiada mi, że 6 miesięcy po tym jak zakopano 68 zastrzelonych, (było to 30-go listopada 1942) wiosną 1943 przybyli mieszczanie, wyciągnęli ciała, przeszukali je, czy nie mają dolarów, wyrwali im złote zęby. Jednym z tych którzy brali w tym udział był Czesław Nowakowski. Kiedy wyszedłem z cmentarza podeszła do mnie polska kobieta, i pokazała mi grób 7-letniego chłopca Awnera Diamenta. Rodzina tego chłopca ukryła się przed wysiedleniem u Polaka. Przyszli polscy bandyci partyzanci, wyciągnęli całą żydowską rodzinę i ich rozstrzelali. Podczas strzelania matka upadła na dziecko, które było jedynie zranione. Nocą dziecko się podniosło i poszło do wsi Moszyce. Tam dano mu coś do jedzenia i przyprowadzono do Klimontowa. Dzieckiem zajęła się biedna kobieta Janis z

Klimontowa, która często prosiła rodziców dziecka o wodę. Dziecko powiedziało jej, że ma krewnych w Ameryce i po wojnie ją wynagrodzą. Dziecko wychowywało się z jej wnukami. Poszła także do księdza i poprosiła, by je ochrzczono. Tak kręciło się przez kilka tygodni w miasteczku. Pewnego dnia doniesiono na dziecko żandarmerii niemieckiej. Dziecko prosiło by zostawić je przy życiu, wskazało adres, pod którym ojciec jego ukrył pieniądze. Dwa dni dziecko przebywało w żandarmerii, po dwóch dniach wyprowadzono je na cmentarz, tam, trzema nabojami je zastrzelono. Poszedłem do synagogi i do bejt ha-midrashu. Synagoga wyszła w dobrym stanie z niemieckich rąk. Brakowało jedynie Aron ha- kodesz. Drzwi, okna, malunki, wszystko pozostało. Także w całości pozostał bejt ha-midrash. Potem wszedłem do więzienia Judenratu, wszystko było tam tak jak wcześniej. Ściany pokryte były napisami przeciwko radzie żydowskiej. Jeden napis rymował się i skierowany był przeciwko radnemu Dawidowi Grojsmanowi.

Dawid Grosman musi włożyć uprzęż końską
Gdyż jest koniem i zgnuśnieć powinien wkrótce pod
ziemią
jest dowiedzione,
że jest to obrzydliwy
złodziej [rzeźnik- dopisek ręką w maszynopisie]

Patrzę na ścianę synagogi, na której miejsce miała egzekucja 22 Żydów, którzy zamordowani zostali 2-go września, 1942 roku. Na ścianie synagogi pozostały dziury po kulach, jako milczący świadkowie tego hańbiącego czynu rady żydowskiej i prowokacji polskiej policji. Tej samej nocy miało miejsce bombardowanie Klimontowa i żydowskiej dzielnicy, to co częściowo przetrwało, teraz zostało zniszczone. Przy tym, wśród innych zamordowana została kobieta, która miała to żydowskie dziecko. W tym czasie do Klimontowa przybyli 3 Żydzi opatowscy i kobieta. Stałem z nim na ulicy i rozmawiałem. Nagle zobaczyłem mieszczańskie chuliganów. Jeden z nich wyciągnął rewolwer, a drugi doszedł do Żyda z Opatowa, u kogo się ukrywali. Postanowiłem stamtąd odejść, musimy przejść Wisłę, aby oddalić się od frontu. Ale po drugiej stronie Wisły zatrzymało nas NKWD, które podejrzewało nas o szpiegostwo. Dwaj Żydzi Opatowscy zaczęli uciekać. Jeden z nich został zastrzelony. Uwolniono nas po krótkim czasie i poszliśmy z powrotem do Klimontowa. Do Klimontowa przybyli jeszcze Żydzi. Położenie było trudne, byliśmy nadzy i bosi. Pracowaliśmy u Żyda Motla Penczyny, który przejął swój młyn. Wykorzystywał nas w

ponizający sposób. Teraz znajduje się w Łodzi, miał mękę dla Armii Czerwonej i z tego zebrał milionowy majątek. Nam dawał kawałki chleba, bił nas, kiedy nie chcieliśmy pracować. Potem pracowałem jako krawiec dla Armii Czerwonej i dobrze zarabiałem. Pewnego razu przyszedł do nas niejaki Stefan Binos ze wsi i poradził nam, żebyśmy poszli z Klimontowa, gdyż wie, że Polacy chcą nam wrzucić przez okno granaty. Kiedy 12-go stycznia posunął się i pozostało mniej żołnierzy, postanowiliśmy odejść z miasta, gdyż atmosfera stała się gorąca. Wielu Polaków ostrzegało nas, abyśmy odeszli. Pod koniec marca 1945 przybyliśmy do Łodzi. W Klimontowie pozostał jeszcze Chaim Penczyna, ze swoją ciężarną żoną, syn Abrahama Penczyny, który ukrywał się w Więzownicach ze swoją żoną, córką, trzema synami, i dwoma synowymi i z całą swoją rodziną zamordowany został tuż przed wyzwoleniem. Jednocześnie tuż przed wyzwoleniem w tej samej wsi zastrzelone zostały dwie żydowskie kobiety. Polacy nie mogli im wybaczyć, że przez tak długi czas ukrywały się i w godzinę wyzwolenia, na którą tak długo czekano, padły z rąk morderców. Była to pani Róża Bojm ze swoją siostrą, żoną Izraela Rozenberga. On jest teraz w Argentynie. Dowiedziałem się też, że do Ratkowskiego [Radkowskiego], u którego się ukrywałem, po moim odejściu 5-go września 1943 po likwidacji liceum przybyli jego znajomi, którzy chcieli się u niego ukryć: Awner Wal, Joel Wajcman i Mojsze Nisenbojm z Opatowa. Awner i Joel poszli do Klimontowa odebrać od Józefa Szenszyckiego swoje rzeczy. Gdy wychodzili od Szenszyckiego, nasłał na nich partyzantów, oni poszli za nimi do Więzownic do Ratkowskiego. Pobili Ratkowskiego a trzech Żydów zastrzelili u niego na podwórku. Była to banda 40 uzbrojonych bandytów. Miało to miejsce dwa tygodnie po tym, jak opuściliśmy to miejsce. Powiedział mi o tym Edward Ratkowski, który pochował Żydów we wspólnym grobie na cmentarzu. Również do Mazura, gdzie byliśmy w tej samej wsi, po naszym odejściu przyszli partyzanci, przytaszczyli Jankiela Penczynę, syna Abrahama i zażądali od gospodarza, aby wydał, gdzie ukrywają się Żydzi. Od razu poszli do schronu, w którym byliśmy. Zdaje się, że Jankiel Penczyna dowiedział się o nas od Matisa Fajnkuchena. Pobili gospodarza i Jankiela, który był już w 90% martwy. Na koniec powiesili go na brzozie nie na sznurku, tylko gałąź okręcili mu dookoła szyi. To opowiedział mi sam Mazur.

12-go kwietnia 1945 reszta Żydów opuściła Klimontów, pozostało tylko 5 Żydów: Abraham Złotnicki, bracia Szaje i Chil Lederman, i małżeństwo Chaim i Ryfcia Penczyna. W poniedziałek 16-go kwietnia nocą, przybyli polscy bandyci i ich zastrzelili.

Tak zakończyła się historia Żydów w Klimontowie.

Podpisane przez świadków

L. Zylberberg

Protokolant: K. Mirska

Łódź, 2-go października 1945

Zeznanie przeczytał Grinberg Aszr, który sam urodził się w Klimontowie i przez cały czas aż do wysiedlenia w listopadzie 1942 przebywał w Klimontowie. Potwierdza to.

Ja, Isze Grinberg, urodzony w Klimontowie (1896) przez cały czas aż do wysiedlenia w listopadzie 1942, byłem w Klimontowie i potwierdzam, że wszystko to, co Lejb Zylberg przekazał, jest całkowicie zgodne z prawdą.

Łódź Kamienna 8/18

16/IV-1947